80 LAT ŚRODA UKAZUJE SIĘ OD 1945

28 maja 2025 NR 123 (18214)

Sport

CONFERENCE LEAGUE

UEFA



Wroclove futbol

Z DRUGIEJ STRONY



Paweł Czado

Nie dogodzisz

Robert Lewandowski poinformował, że nie weźmie udziału w najbliższym zgrupowaniu reprezentacji Polski, które odbędzie się na Górnym Śląsku i nie zagra zarówno w towarzyskim meczu z Mołdawią na Stadionie Śląskim, jak i w spotkaniu eliminacji mundialu z Finlandią w Helsinkach. Kapitan kadry napisał o tym w mediach społecznościowych, dodając, że potrzebuje odpoczynku i rozmawiał już o tym z selekcjonerem Michałem Probierzem. Już słyszę te grzmiące głosy, pełne świętego oburzenia: To skandal, to skandal, to skandal! Jakim cudem piłkarz, który jest w gazie, który w ostatnim meczu ligowego sezonu wbił dwa gole Athletikowi Bilbao, odmawia reprezentacji w takim momencie?! Przecież ojczyzna wzywa. Larum grają! Przeciwnicy w pełnej gotowości, a ty widzisz i nie grzmisz?!

Jak zwykle grzmi Jan Tomaszewski, kiedyś wybitny bramkarz, a teraz wyrazisty komentator wydarzeń futbolowych. „Moim zdaniem Lewandowski powinien przyjechać na drugi mecz. Jest kapitanem drużyny, a kapitan opuszcza statek ostatni. Mecz z Finlandią będzie tym pierwszym stopniem do barażu, a zatem to spotkanie arcyważne. Powinien zagrać może nie cały mecz, ale końcówkę. (...) Lewandowski w tej chwili może dużo pomóc, nie tylko jeśli chodzi o grę. Mógłby chociaż przyjechać na zgrupowanie!" – to fragment tyrady Tomaszewskiego dla „Super Expressu". Jego gra wzbudzała mój podziw, jego tyrady wzbudzają mój uśmiech.

Jeszcze niedawno duży odsetek narodu irytował się obecnością Lewandowskiego w reprezentacji Polski, oczekując, że ten wreszcie ją opuści. Jak to zwykle u nas bywa, w sieci pojawił się rzyg szyderczych i chamskich komentarzy. To zapewne te same osoby, które w przypadku, gdyby „Lewy" walnął hat trick w którymś z tegorocznych meczów reprezentacji, przymilnie trzepotałyby rzęsami. Przykłady bluzgów: „Tak to jest, jak się na boisko wystawia pensjonariusza domu spokojnej starości z zaburzeniami koordynacji ruchowej". Albo: „Emeryt, który od kilku lat blokuje miejsce w kadrze młodym. Od wielu lat niszczy naszą kadrę, hamując jej rozwój. On w kadrze to same afery, zwalnianie trenerów, publiczne pranie brudów, oskarżenia i pretensje do innych tylko nie do siebie". Albo: „Czy Polacy zasługują na takiego kapitana?".

U nas ludziom nie dogodzisz. Zwłaszcza tym uważającym, że Polacy to naród wybrany, który zstąpił z nieba, tym, którzy w Dusznikach byli, Gąbin widzieli. Już słyszę teorie, że RL9 ma za nic reprezentację, lekceważy selekcjonera Probierza. W mojej opinii to absurd. Niektórym „kibicom", leżącym na tapczanach i żrącym popcorn, wydaje się, że praca piłkarza jest łatwa, prosta, przyjemna, a przede wszystkim „zajebiście płatna". Tego, kto dużo zarabia, zawsze można zmieszać z błotem. Nie dochodzi do nich, że utrzymanie formy w obecnych czasach to nieustanny wysiłek na niewyobrażalnym dla zjadaczy popcornu poziomie, że nie ma nic za darmo i czasami pojawia się gwałtowna potrzeba resetu.

Nie widzę nic złego w absencji Lewandowskiego podczas najbliższych meczów reprezentacji. Jeśli reprezentacja Polski miałaby sobie bez niego nie poradzić w towarzyskim meczu z Mołdawią lub w grze o punkty z Finlandią, to jak w ogóle marzyć o starcie w mundialu? Dla Michała Probierza to idealny moment, by sprawdzić inne rozwiązania personalne. Lewandowski w reprezentacji swoje już zrobił. Jeśli zrobi coś więcej, można to przyjąć z pocałowaniem ręki. Jeśli nie, to trudno. Era mezozoiczna kiedyś się skończyła, zlodowacenie się kiedyś skończyło, dyktatura Putina kiedyś się skończy. Wszystko się kiedyś kończy. Cieszmy się, że żyjemy w epoce Lewandowskiego. Bo też się skończy.

Z GieKSy do kadry

Selekcjoner Michał Probierz powołał między innymi Piotra Zielińskiego, którego nie było w marcu i pięciu piłkarzy ekstraklasy, w tym takich, którzy liczą na debiut oraz Kamila Grosickiego.

Przed Biało-czerwonymi dwa czerwcowe pojedynki – w piątek 6 czerwca zagramy na Stadionie Śląskim w Chorzowie w towarzyskiej konfrontacji z Mołdawią, a we wtorek 10 czerwca w Helsinkach w eliminacjach z Finlandią.

Napastnicy w cenie

Pierwszy mecz na przetarcie, w drugim gra toczyć się już będzie o punkty w grupie G, gdzie na razie – z dwoma zwycięstwami w marcowych grach u siebie z Litwą i Maltą – prowadzimy z kompletem punktów. Finowie mają ich o dwa mniej, bo pod koniec marca zremisowali z Litwą w Kownie. Do gry w czerwcu wkracza też faworyt Holandia – 7 czerwca Oranje grają na wyjeździe z Finlandią.

Wiadomo, że w najbliższych spotkaniach sztab szkoleniowy nie będzie mógł skorzystać z Roberta Lewandowskiego, który postanowił odpocząć po trudach sezonu. Do kadry wraca za to kontuzjowany w marcu Piotr Zieliński. W ataku Lewandowskiego będzie zastępował ktoś z trójki Adam Buksa, Karol Świderski, Krzysztof Piątek. Całe trio jest w strzeleckiej formie. Buksa w duńskim Midtjylland strzelił w całym sezonie 15 bramek we wszystkich rozgrywkach. Piątek walczy o tytuł króla strzelców w silnej i bogatej tureckiej Super Lidze. Zdobył 21 goli, a te trafienia sprawiają, że na kolejkę przed końcem jego Istanbul Basaksrhir jest na miejscu dającym grę w europejskich pucharach. Tylko świetny Victor Osimhen ma więcej, bo 25 bramek. Za reprezentantem Polski takie sławy jak Youssef En-Nesyri, Ciro Immobile czy Edin Dżeko. Świderski? W 16 grach w Panathinaikosie od początku roku we wszystkich rozgrywkach zanotował cztery gole i trzy asysty.



Fot. Piotr Matusewicz / PAP

Oskar Repka (z prawej) znalazł się w kadrze na mecze z Mołdawią i Finlandią.

Świetny sezon

Sporo komentarzy wywołały powołania do kadry debiutantów, choćby bramkarza Mateusza Kochalskiego, który z azerskim Karabachem Agdam właśnie co sięgnął po mistrzostwo kraju, a wcześniej z dobrej strony pokazywał się u nas w lidze w Stali Mielec. Powołanie innego debiutanta Oskara Repki dla znawców też nie jest jakimś wielkim zaskoczeniem. Pisaliśmy zresztą o nim w „Sporcie" w zeszłym tygodniu w tekście, gdzie polecaliśmy ligowców selekcjonerowi. Za 26-letnim zawodnikiem GKS-u Katowice znakomity sezon, wiosna, a szczególnie zakończenie rozgrywek. Ten defensywny pomocnik nie tylko wykonywał swoją robotę, jak należy, ale sporo dokładał z przodu, o czym stanowi 8 zdobytych bramek na koniec sezonu 2024/25 i dobra lokata GieKSy na koniec rozgrywek. Na początku sezonu w biało-czerwonej kadrze niespodziewanie pojawił się Mateusz Kowalczyk, na koniec zaś Repki. W GieKSie mają się więc z czego cieszyć.

W reprezentacji znalazło się też miejsce dla Kamila Grosickiego, który meczem z Mołdawią na Stadionie Śląskim pożegna się po latach grania z biało-czerwonymi barwami. Będzie okazja do podziękowania „Grosikowi" za wiele świetnych występów w reprezentacji.

Michał Zichlarz

KADRA NA MECZE Z MOŁDAWIĄ I FINLANDIĄ:

Bramkarze: Marcin Bułka (OGC Nice), Mateusz Kochalski (Karabach Agdam), Bartosz Mrozek (Lech Poznań), Łukasz Skorupski (Bologna FC).

Obrońcy: Jan Bednarek (Southampton FC), Bartosz Bereszyński (Sampdoria Genua), Matty Cash (Aston Villa), Paweł Dawidowicz (Hellas Werona), Jakub Kiwior (Arsenal Londyn), Mateusz Skrzypczak (Jagiellonia Białystok), Sebastian Walukiewicz (Torino FC), Mateusz Wieteska (PAOK Saloniki).

Pomocnicy: Mateusz Bogusz (Cruz Azul), Przemysław Frankowski (Galatasaray Stambuł), Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin), Jakub Kamiński (VfL Wolfsburg), Jakub Moder (Feyenoord Rotterdam), Maximillian Oyedele (Legia Warszawa), Jakub Piotrowski (Ludogorec Razgrad), Oskar Repka (GKS Katowice), Bartosz Slisz (Atlanta United), Sebastian Szymański (Fenerbahce Stambuł), Nicola Zalewski, Piotr Zieliński (obaj Inter Mediolan).

Napastnicy: Adam Buksa (FC Midtjylland), Krzysztof Piątek (Istanbul Basaksrhir), Karol Świderski (Panathinaikos Ateny).

MŁODZIEŻÓWKA

■ Selekcjoner młodzieżowej reprezentacji Polski Adam Majewski ogłosił szeroką kadrę na zgrupowanie w Woli Chorzelowskiej, podczas którego drużyna będzie przygotowywać się do turnieju finałowego Młodzieżowych Mistrzostw Europy na Słowacji. Ostateczna kadra zostanie ogłoszona 4 czerwca. Polska na turnieju zagra z Gruzją (11 czerwca, godzina 21, Żylina), Portugalią (14 czerwca, g. 21, Trenczyn) i Francją (17 czerwca, g. 18, Żylina).

KADRA NA MME

Bramkarze: Sławomir Abramowicz (Jagiellonia Białystok), Jakub Mądrzyk (Stal Mielec), Kacper Tobiasz (Legia Warszawa), Kacper Trelowski (Raków Częstochowa).

Obrońcy: Łukasz Bejger (NK Celje), Michał Gurgul (Lech Poznań), Filip Luberecki (Motor Lublin), Miłosz Matysik (Aris Limassol), Ariel Mosór (Raków Częstochowa), Patryk Peda (Juve Stabia), Bartłomiej Smolarczyk (Korona Kielce),

Pomocnicy: Mariusz Fornalczyk (Korona Kielce), Jakub Kałuziński (Antalyaspor), Mateusz Kowalczyk (GKS Katowice), Kacper Kozłowski (Gaziantep FK, Turcja), Antoni Kozubal (Lech Poznań), Mateusz Łęgowski (Yverdon-Sport), Dominik Marczuk (Real Salt Lake), Tomasz Pieńko (Zagłębie Lubin), Arkadiusz Pyrka (Piast Gliwice), Michał Rakoczy (Ankaragucu), Kajetan Szmyt (Zagłębie Lubin).

Napastnicy: Wiktor Bogacz (New York Red Bulls), Filip Szymczak (GKS Katowice), Szymon Włodarczyk (Salernitana).

Hanysy są w porządku



Fot. Artur Kraszewski / Press Focus

Piotr Lasyk podczas meczu Widzew Łódź – Legia Warszawa.

Piotr Lasyk z Bytomia zdobył Kryształowy Gwizdek dla najlepszego sędziego, GKS Katowice obejrzał najmniej kartek, a Górnik Zabrze popełnił najmniej fauli.

Podsumowując zakończony sezon ekstraklasy, oprócz punktów i goli warto też przyjrzeć się kwestii zachowania fair play. Czymże byłby w końcu sport bez porządku i dyscypliny? Za panowanie nad boiskowymi wydarzeniami odpowiadają sędziowie. W sezonie 2024/25 najlepszy spośród nich był Piotr Lasyk, któremu jako „Sport" wręczamy 46. Kryształowy Gwizdek!

Sędziowie eksploatowani

Mimo obecności VAR-u i szeregu technologicznych nowinek można było odnieść wrażenie, że poziom sędziowania w ekstraklasie się obniżył. Kontrowersji nie brakowało, a wielokrotnie wynikały one nie tyle z ewidentnych pomyłek, co z różnych interpretacji poszczególnych przepisów. Parafrazując klasyczkę, można by powiedzieć: „Sorry, takie mamy przepisy", ale sędziowie nie pomagali w pozytywnym postrzeganiu siebie samych, gdy w różnych meczach w bliźniaczych sytuacjach podejmowali różne decyzje. Być może dlatego pochodzący z Bytomia Lasyk jako jedyny w gronie tych, którzy sędziowali regularnie, przekroczył średnią punktową wynoszącą 7 – dokładnie 7,04. Trochę niżej był arbiter eksportowy, Szymon Marciniak, z wynikiem 6,80. Obaj panowie – razem z Łukaszem Kuźmą i Wojciechem Myciem – należeli zresztą do najbardziej eksploatowanych arbitrów. Jak zauważył w swojej analizie były sędzia Rafał Rostkowski, w lidze hiszpańskiej, włoskiej, niemieckiej czy francuskiej nie było w tym sezonie arbitra, który prowadziłby więcej spotkań niż wymieniona czwórka. Zresztą często było tak, że najpierw panowie biegali z gwizdkiem, by jeszcze w ten sam weekend w innej części Polski zasiadać w wozie VAR i pomagać kolegom. Nie jest to bynajmniej pochlebstwo w stronę organizatorów.

Pamiętny półfinał

Dla Lasyka to drugi Kryształowy Gwizdek w karierze. Poprzednio najlepszy był w sezonie 2018/19, „wbijając się" poniekąd pomiędzy Szymona Marciniaka. Arbiter z Płocka, w minionej kampanii „wicemistrz gwizdka", wygrywał już osiem razy! Od ostatniego zwycięstwa Lasyka zgarnął cztery z pięciu Kryształowych Gwizdków. Sędzia z Bytomia oczywiście nie był idealny. W zakończonym dopiero co sezonie miewał słabsze momenty, ale w porównaniu z pozostałymi kolegami miał ich na pewno mniej. Najgłośniejszy dotyczył meczu ćwierćfinałowego w Pucharze Polski, gdy jego błędne decyzje wyraźnie pomogły Legii ograć Jagiellonią i przejść do półfinału (sam arbiter przedstawił potem argumenty na swoją obronę). Niezależnie jednak od tego Lasykowi należą się gratulacje!

Rzadko, ale konkretnie

Ale żeby oceniać sędziego, trzeba najpierw podjąć decyzję o odgwizdaniu przewinienia. Tych najmniej w sezonie 2024/25 popełniali piłkarze Górnika Zabrze. 14-krotni mistrzowie Polski złamali przepisy 317 razy, czyli równo o 200 mniej niż lider w tej kwestii, czyli Puszcza Niepołomice. Dało to zabrzanom średnią na poziomie 9,32 faula na mecz. Co też ciekawe, to że zabrzanie byli trzecią najczęściej faulowaną ekipą ekstraklasy! Paradoks tej sytuacji polega na tym, że zespół z Roosevelta... dużo gorzej wypadł w klasyfikacji kartkowej, gdzie znalazł się w czołowej piątce (w negatywnym znaczeni słowa „czołowa"). Jak więc widać, że Lukas Podolski i spółka faulowali rzadko, ale konkretnie. Przodował w tym Rafał Janicki, który obejrzał dwie czerwone kartki, będąc jednocześnie najczęściej oglądającym „żółtko" piłkarzem Górnika, bo aż ośmiokrotnie.

Repka i Repka

Odwrotnie należy spojrzeć z kolei na zaprzyjaźnionego z zabrzanami beniaminka z Katowic. GKS okazał się bowiem „najczystszą" drużyną ekstraklasy, to znaczy, że arbitrzy pokazywali im najmniej kartek – zarówno najmniej żółtych (bo tylko 49), jak i czerwonych (ledwie jedną). Niewiele brakowało, aby GieKSa zakończyła sezon bez czerwieni, ale na cztery spotkania przed końcem defensywny pomocnik Oskar Repka zobaczył dwa „żółtka" w starciu z Koroną Kielce (a najpierw... strzelił gola). Co zresztą ciekawe, ten sam zawodnik, który wkrótce może zaliczyć debiut w reprezentacji Polski, obejrzał dwie żółte... w Pucharze Polski, będąc jedynym katowiczaninem, który wylatywał w tym sezonie z boiska. Poza tym jednak GKS rozegrał 9 z 34 meczów ligowych, podczas których arbitrzy ani razu nie musieli wyciągać kartonika po interwencji któregoś z jego zawodników. Jak też łatwo się domyślić – tak jak Górnik faulował w lidze najrzadziej, tak GieKSa była trzecim najrzadziej łamiącym przepisy zespołem ekstraklasy!

Wygrał Górny Śląsk

Reasumując – najlepszy sędzia z Bytomia, najrzadziej łamiący przepisy zespół z Zabrza, a najrzadziej karany z Katowic. Trzeba więc jasno powiedzieć, że klasyfikację fair play w każdym możliwym aspekcie wygrał w tym sezonie Górny Śląsk! Ślązacy zawsze cenili sobie dyscyplinę, ład i porządek, co najwyraźniej ma przełożenie także na fusbal!

Piotr Tubacki

ZWYCIĘZCY KRYSZTAŁOWEGO GWIZDKA „SPORTU"

1979/80 Aleksander Suchanek (Kraków)
1980/81 Jacek Kacprzak (Gdańsk)
1981/82 Aleksander Suchanek (Kraków)
1982/83 Roman Kostrzewski (Bydgoszcz)
1983/84 Alojzy Jarguz (Suwałki)
1984/85 Andrzej Libich (Warszawa)
1985/86 Krzysztof Czemarmazowicz (Szczecin)
1986/87 Piotr Werner (Katowice)
1987/88 Piotr Werner (Katowice)
1988/89 Władysław Dąbrowski (Warszawa)
1989/90 Piotr Werner (Katowice)
1990/91 Piotr Werner (Katowice)
1991/92 Marian Dusza (Katowice)
1992/93 Roman Kostrzewski (Bydgoszcz)
1993/94 Piotr Werner (Katowice)
1994/95 Stanisław Żyjewski (Leszno)
1995/96 Piotr Werner (Katowice)
1996/97 Stanisław Żyjewski (Leszno)
1997/98 Zbigniew Urbańczyk (Kraków)
1998/99 Andrzej Czyżniewski (Gdańsk)
1999/2000 Stanisław Żyjewski (Leszno)
2000/01 Jacek Granat (Warszawa)
2001/02 Zbigniew Marczyk (Piła)
2002/03 Jacek Granat (Warszawa)
2003/04 Jacek Granat (Warszawa)
2004/05 Grzegorz Gilewski (Radom)
2005/06 Robert Werder (Warszawa)
2006/07 Grzegorz Gilewski (Radom)
2007/08 Jacek Granat (Warszawa) i Robert Małek (Zabrze)
2008/09 Robert Małek (Zabrze) i Hubert Siejewicz (Białystok)
2009/10 Adam Lyczmański (Bydgoszcz)
2010/11 Paweł Gil (Lublin)
2011/12 Robert Małek (Zabrze)
2012/13 Tomasz Musiał (Kraków)
2013/14 Szymon Marciniak (Płock)
2014/15 Szymon Marciniak (Płock)
2015/16 Szymon Marciniak (Płock)
2016/17 Mariusz Złotek (Gorzyce koło Stalowej Woli)
2017/18 Szymon Marciniak (Płock)
2018/19 Piotr Lasyk (Bytom)
2019/20 Szymon Marciniak (Płock)
2020/21 Szymon Marciniak (Płock)
2021/22 Łukasz Kuźma (Białystok)
2022/23 Szymon Marciniak (Płock)
2023/24 Szymon Marciniak (Płock)
2024/25 Piotr Lasyk (Bytom)

Żółte 1235/Czerwone 53

49/1	GKS
70/1	Lechia
86/1	Radomiak
53/2	Lech
64/2	Jagiellonia
66/2	Piast
68/2	Cracovia
69/2	Motor
75/2	Śląsk
77/2	Korona
57/3	Zagłębie
81/3	Legia
86/4	Puszcza
66/5	Górnik
66/5	Pogoń
71/5	Widzew
72/5	Raków
59/6	Stal

Popełnione faule

317	Górnik
356	Widzew
359	GKS
381	Stal
383	Lechia
388	Pogoń
389	Zagłębie
392	Cracovia
404	Jagiellonia
412	Lech
416	Motor
420	Piast
420	Korona
422	Raków
453	Legia
455	Śląsk
468	Radomiak
517	Puszcza

Kryształowy Gwizdek

7,04	Piotr Lasyk (Bytom)
6,80	Szymon Marciniak (Płock)
6,54	Marcin Szczerbowicz (Olsztyn)
6,43	Łukasz Kuźma (Białystok)
6,41	Daniel Stefański (Bydgoszcz)
6,31	Damian Kos (Wejherowo)
6,27	Jarosław Przybył (Kluczbork)
6,25	Bartosz Frankowski (Toruń)
6,20	Piotr Rzucidło (Warszawa)
6,18	Wojciech Myć (Lublin)
6,16	Paweł Malec (Łódź)
6,15	Tomasz Kwiatkowski (Warszawa)
6,10	Damian Sylwestrzak (Wrocław)
6,08	Marcin Kochanek (Tarnów Opolski)
5,94	Karol Arys (Szczecin)
5,91	Sebastian Krasny (Kraków)
5,66	Paweł Raczkowski (Warszawa)
5,64	Patryk Gryckiewicz (Toruń)

Co dalej z Rakowem?

Gorączka złota przybrała pod Jasną Górą rodzaj histerii, która wesele przemieniła w stypę... Zasadne w tej sytuacji zdaje się postawione w tytule pytanie.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Wydawałoby się, że wicemistrzostwo Polski, powrót na międzynarodowe areny i możliwość reprezentowania Polski w europejskich pucharach to powód do radości, chluby, splendorów – nawet jeśli nie udało się zdobyć wymarzonego drugiego w historii mistrzowskiego tytułu. Nawet jeśli trochę na własne życzenie w samej końcówce sezonu zjechało się z autostrady do Klondike. Tymczasem gorączka złota przybrała pod Jasną Górą rodzaj histerii, która wesele przemieniła w stypę.

„Lekkie" niezadowolenie

Udowodnimy to na podstawie ostatniej konferencji prasowej po zwycięskim meczu w Częstochowie z Widzewem Łódź. To baza rachunku logicznego zdań wypowiadanych podczas spotkania z dziennikarzami Marka Papszuna. – Coś, co przed sezonem trudno sobie było wyobrazić, bo cel mówił, by wrócić do pucharów, dziś jest powodem lekkiego niezadowolenia, że nie zdobyliśmy mistrzostwa Polski. Jaka by sytuacja nie była, to ten niedosyt i ból w nas będzie, bo zabrakło punktu do mistrzostwa Polski – to była pierwsza konkluzja trenera, który dalej podsumowywał sezon. – To pokazuje, jaką pracę wykonaliśmy dzień po dniu. Konsekwentną, systematyczną pracę wielu ludzi, co zaprocentowało średnią ponad dwa punkty na mecz i tylko pięcioma porażkami w 34 spotkaniach. To super wynik, który jednak nie dał mistrzostwa. Jestem dumny z tej drużyny, dumny z tych ludzi, którzy ten wynik wypracowali. Za to chciałbym serdecznie podziękować piłkarzom, sztabowi...

Chwaleni, pżegnani

Słowa, słowa, tylko słowa... ponieważ podziękowanie płynące od częstochowskiego „The Specjal One" zaowocowało następnego dnia... dymisją dwóch trzecich tak chwalonego sztabu szkoleniowego! Ale to jeszcze nic, ponieważ charyzmatyczny szkoleniowiec Medalików tak wspominał swój powrót do klubu po roku nieobecności, choć ostrzegano go wtedy, że do tej samej wody nie wchodzi się dwa razy. – Drużyna jest w budowie, to jest strzępek tego, co widzę w przyszłości. To, co prezentujemy, jaki mamy skład, to jest dla mnie nie do przyjęcia. Przypominam sobie letni obóz przygotowawczy w Arłamowie, to nie był fajny okres dla nas – mówił na początku drogi, by po 12 miesiącach tak podsumować wyprostowaną już ścieżkę marszu w górę. – Jestem bardzo zadowolony z tego, co zrobiliśmy w tym sezonie. To była mozolna praca dzień po dniu. Drużyna to nie tylko piłkarze, ale sztab ludzi dookoła. Ci ludzie z cienia są bardzo ważni. To oni wykonali świetną pracę. Przeorganizowali dużo rzeczy. Z Arturem Węską bardzo dużo zrobili dla drużyny, dla klubu. A mnie w miarę sensownie udało się to poukładać i rozwijaliśmy tych chłopaków i drużynę. Ja wiem, jak to wygląda w środku. Super się z tym zespołem pracowało. Z dużą energią przychodziłem do pracy i praca sprawiała mi satysfakcję.

Bez planów odejścia, ale...

To holistyczne zacięcie zaburzyła porażka w rywalizacji o tytuł z Lechem Poznań. My natomiast oddajmy raz jeszcze głos zadowolonego trenera, bo jest i inna optyka. O tym za chwilę. – Życie jest nieprzewidywalne, ale nie patrzę w przyszłość przez pryzmat odejścia z Rakowa – zapewnił. – Jestem tutaj szczęśliwy. Praca sprawia mi satysfakcję. Rozwijam się i mam mocny wpływ na rozwój ludzi, poczucie tego, że środowisko – piłkarze, sztab – dookoła mnie rośnie. To jest dla mnie mega ważne i motywujące do długofalowej pracy. Wiem też, że kibice na mnie liczą. Nie wiem, jak się życie potoczy, ale na dziś nie mam planów odejścia z klubu.

Nie ma planów i nie ma gwarancji, bowiem... – Udajemy się na zasłużone urlopy i zobaczymy, co dalej. W jaki sposób skonsumujemy to wicemistrzostwo i w jakim kierunku będzie szedł klub. Dla mnie jest ważne pytanie, co dalej? W jakim kierunku będziemy szli? To już pytanie do Michała Świerczewskiego, właściciela klubu – co dalej z Rakowem? Bo cele można stawiać. Można po sezonie wicemistrzowskim już tylko walczyć o mistrzostwo kraju. Ale taki cel z sześć drużyn postawi sobie w przyszłym sezonie. Ambicje można mieć, ale trzeba mierzyć siły na zamiary – mówił coraz bardziej zagadkowo. Czy miał na myśli tylko stadion? Jak sam przyznał, to temat dla ludzi zarządzających miastem. No to może chodzi o właściciela, Michała Świerczewskiego, który miał... pretensje o te tylko posrebrzane medale? Na ten kierunek wskazała odpowiedź na pytanie, zadawane zresztą wcześniej kilka razy, czy ma wątpliwości co do zaangażowania właściciela na nowy sezon.

Właściciel liczył na mistrzostwo

– Trudno powiedzieć, bo wiem, że Michał bardzo liczył na to mistrzostwo – odparł z uśmiechem o dziwnym zabarwieniu. – To zrozumiałe, bo to szalenie ambitny człowiek. Końcówka sezonu mocno obciążająca, wiem, że emocję sięgały zenitu. Bardziej na trybunach niż na ławce rezerwowych i to się dało odczuć w ostatnim czasie, bo wiemy, że ten klub w dużej mierze opiera na Michale. Są sponsorzy, jest duża rzesza takich ludzi, jest sponsor na koszulce, więc klub pod tym kątem naprawdę się rozwija. Te zewnętrzne przychody nie sprawiają już, że klub opiera się tylko na budżecie, którym wspomaga nas Michał. I właśnie to jest to „ale", że zespół i pewne obszary wymagają doinwestowania w wielu kwestiach. Wiemy, że mamy deficyty, więc zasadne jest pytanie, w jakim kierunku to będzie szło – zakończył wywód szkoleniowiec zespołu, który przez sześć ostatnich sezonów świętował trzy wicemistrzostwa i mistrzostwo Polski.

Zbigniew Cieńciała

Barath odchodzi

Po zakończeniu wypożyczenia z węgierskiego Ferencvarosi TC Peter Barath odchodzi z Rakowa Częstochowa. 23-letni pomocnik w zakończonym sezonie rozegrał 25 spotkań i strzelił dwa gole.



Fot. Grzegorz Misiak / Press Focus

Tak wyglądał częstochowski krajobraz po wicemistrzostwie kraju.



Pasy sezon zakończyły na 6. miejscu, tuż za Legią.

Chcemy puc

Rozmowa z **Mateuszem Dróżdżem**, prezesem Cracovii

Jaki to był sezon dla Cracovii? Szóste miejsce to dobry wynik, a mimo to na dwie kolejki przed końcem zapadła decyzja, by nie przedłużać umowy z trenerem Dawidem Kroczkiem.

– Był słodko-gorzki. Przed sezonem szóstą lokatę bralibyśmy w ciemno, ale bardziej patrzyliśmy na to, że apetyty urosły i było widać naszą jakość. Dlatego stwierdzamy, że do końca wszystkiego nie wykorzystaliśmy i w przyszłych rozgrywkach musimy zrobić wszystko, aby całe były jak ta dobra runda jesienna, a nie zła wiosenna.

Stąd zmiana na ławce trenerskiej?

– Niestety tak i mówię to z dużym westchnieniem, bo to była bardzo trudna decyzja – także z czysto ludzkiego punktu widzenia. Trener Kroczek wraz ze sztabem wykonał świetną robotę, ale wiosną to się tak zacięło, że – mimo różnych prób – nie udało się uratować. Zobaczymy, czy decyzja się obroni, ale my w przyszłym sezonie na pewno nie mamy marginesu błędu. Nasz cel jest jasny – to gra w europejskich pucharach i chcemy go zrealizować.

Kilka dni po informacji o braku kontynuowaniu współpracy Cracovia rozegrała świetny mecz z Legią Warszawa. To było bardzo godne pożegnanie. Nie pojawiły się po nim u pana wątpliwości czy rozstanie to dobry ruch?

– Pojawia się pytanie: dlaczego tak późno? Dla mnie też był to ciężki moment, bo bardzo wszystko przeżywam, jestem też emocjonalnie związany z Cracovią. Może to zabrzmi bezczelnie, ale taka jest piłka... Oby takich wydarzeń było jak najmniej i mam też nadzieję, że kiedyś jeszcze będzie mi dane współpracować z trenerem Kroczkiem. Przy innych szkoleniowcach chyba nigdy tak wprost nie mówiłem, a tutaj mam nadzieję, że tak będzie.

Razem z Dawidem Kroczkiem odeszli Tomasz Jasik i Paweł Drechsler. Czy sztab czeka jeszcze większa rewolucja?

– Nowy trener musi mieć swobodę działania i on będzie dobierał współpracowników. Jednak po rozmowach wiemy, że będzie możliwość wskazania przez nas niektórych osób, które powinny się znaleźć w sztabie.

Kiedy odsłonicie karty?

– Nie chciałbym czekać z ogłoszeniem nazwiska nowego trenera dłużej niż dwa tygodnie po zakończeniu ligi.

W ubiegłym tygodniu ogłosiliście konkurs na sponsora tytularnego stadionu. Jesteście optymistami?

– To nie są proste umowy, bo w sportowym biznesie pozyskanie sponsora do nazwy stadionu jest dużym wydarzeniem. Chcemy nawiązać relację biznesową, by druga strona była zadowolona z ekwiwalentu reklamowego związanego z nadaniem nazwy stadionu Cracovii, a my ze świadczeń pieniężnych, które ten pod-



Fot. Krzysztof Porębski / Press Focus

charów



miot zaoferuje. Nasz obiekt jest w szczególnym miejscu, w centrum miasta. W Polsce, a nawet w Europie, rzadko zdarza się tak wyjątkowa lokalizacja dla reklamy. To fantastyczne miejsce, w którym odbywają się nie tylko wydarzenia sportowe. Często słyszymy od osób z innych części kraju, że stadion Cracovii jest bardzo żywy dzięki wielu wydarzeniom.

We wrześniu minie 15 lat od otwarcia. Czy wcześniej były podejmowane próby znalezienia sponsora?

– Były, ale nie do końca udane. Nie była to tylko wina Cracovii, bo wiem o wielu próbach w innych miastach i tylko część okazała się skuteczna. Mamy nadzieję, że przez to, jakim jesteśmy klubem, przez to, co oferujemy, będziemy w stanie znaleźć kontrahenta. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby partner biznesowy był zadowolony z tego, że taką umowę zawarliśmy.

Co roku głośno jest o tym, że miasto dopłaca większe lub mniejsze kwoty do utrzymania stadionu Wisły. A jak radzi sobie Cracovia, która jest operatorem obiektu przy ulicy Kałuży?

– W tamtym roku wydatki i przychody jeszcze się nie bilansowały, ale w tym już powinny. Powinniśmy już wychodzić blisko zera, a może nawet na niewielkim plusie.

Rozmawiał Michał Knura

ABC sezonu 2024/25

Od Afonso Sousy do... zwolnionych trenerów. W minionych rozgrywkach działo się naprawdę wiele!



Fot. Damian Kościecza / Press Focus

Ostra walka, kłótnie, niedozwolone chwyty – za to też kochamy ekstraklasę.

EKSTRAKLASA

Za nami kolejne ligowe rozgrywki. Wiele się w nich działo – czy to na murawie, czy to poza nią. Przypomnijmy najciekawsze wydarzenia zakończonego właśnie sezonu.

A – jak Afonso Sousa

Nie byłoby pewnie mistrzostwa Kolejorza, gdyby nie postawa 25-letniego piłkarza, uznanego za najlepszego pomocnika sezonu i kto wie, czy nie najlepszego piłkarza całych rozgrywek, o czym mówią liczby: 13 bramek + 6 asyst. W Lechu jest od trzech lat, teraz odpalił na całego. Szacuje się, że jego wartość to 10 mln euro. Afonso Sousa ma papiery na granie, ale nie może być inaczej. Jego dziadek Antonio przed laty dzielił szatnię z naszym Józefem Młynarczykiem w FC Porto, z którym w 1987 roku wywalczyli Klubowy Puchar Europy, Superpuchar Europy i Puchar Interkontynentalny. Z kolei ojciec Ricardo występował w wielu klubach (Boavista, Hannover 96, Omonia Nikozja), a potem był trenerem. W piłkę grał też jego wujek Jose, a zawodowym piłkarzem jest kuzyn Bruno Leite – reprezentant… Republiki Zielonego Przylądka. Z takimi genami po prostu trzeba być dobrym zawodowym piłkarzem!

C – jak Carver

Z trójki beniaminków Lechia przeżywała w tym sezonie największe problemy. Zamykała stawkę, pałętała się w strefie spadkowej. Kiedy w grudniu w Gdańsku zdecydowano, żeby zatrudnić nikomu nieznanego w ekstraklasie angielskiego trenera, który od kilku lat jest asystentem Steve'a Clarka w reprezentacji Szkocji, to nasi „eksperci" pukali się w czoło. Z kimś, kto nie zna specyfiki ekstraklasy, Biało-zieloni mieli nie mieć żadnych szans. Zatrudniony w klubie z Trójmiasta Kevin Blackwell wiedział jednak, co robi, stawiając na swojego kolegę z Leeds czy Luton, Johna Carvera. Pod jego wodzą gdańszczanie, mimo olbrzymich kłopotów finansowych i licencyjnych, wygrali 8 z 17 meczów, spokojnie utrzymując się w elicie.

F – jak Feio

Jeśli już jesteśmy przy trenerach, to trzeba wspomnieć o Goncalo Feio. Jego ciągłe kłótnie z sędziami czy napięte stosunki z działaczami Legii sprawiły, że zaraz po sezonie klub z Warszawy poinformował, iż Portugalczyk dalej z Wojskowymi nie będzie już pracował. Trudno jednoznacznie ocenić jego pracę, bo z jednej strony fatalna postawa w lidze, a z drugiej Puchar Polski i ćwierćfinał Ligi Konferencji. Na taki szczebel europejskich rozgrywek Legia czekała długo, bo prawie trzy dekady (ćwierćfinał Ligi Mistrzów w sezonie 1995/96).

H – jak hat tricki

Rzadko w ostatnich latach, mało tego, w tym wieku byliśmy świadkami tego, co na boiskach ekstraklasy wyczyniał Efthymis Koulouris. Trzy hat tricki, w tym raz cztery gole (w kwietniowym meczu z Puszczą w Niepołomicach), a na koniec aż 28 bramek. To niesamowite osiągnięcie greckiego piłkarza Pogoni. Nie jest ono przypadkowe, bo „Koulo" to napastnik z prawdziwego zdarzenia. W rozgrywkach 2018/19 był już królem strzelców wymagającej ligi greckiej w barwach Atromitosu Ateny. Na poniedziałkowej Gali Ekstraklasy został wybrany najlepszym zawodnikiem i napastnikiem rozgrywek. Żałować może jedynie, że Pogoni ponownie, o włos, nie udało się zakwalifikować do europejskich pucharów, bo przecież 4. miejsce i przegrany finał Pucharu Polski z Legią tego nie zagwarantowały.

L – jak Lech

W Poznaniu trwa święto, Kolejorz po raz 9. został mistrzem Polski. Na tytuł w stolicy Wielkopolski nie czekano przesadnie długo, bo raptem trzy lata. Drużyna z takimi zawodnikami jak Bartosz Mrozek, Antonio Milić, Afonso Sousa, Antoni Kozubal czy Mikael Ishak miała różne fazy, ale na koniec wywalczyła upragnione mistrzostwo. Uwagę zwraca przede wszystkim jedna rzecz, a mianowicie bilans poznaniaków u siebie, przy Bułgarskiej, gdzie byli niesieni dopingiem – jak w sobotę z Piastem – 40 tysięcy kibiców. Na 17 ligowych meczów aż 15 wygranych, co dało 45 punktów! To olbrzymi bonus, który na koniec zaważył o triumfie ekipy trenera Nielsa Frederiksena.

M – jak młodzieżowcy

Jak się okazało w trakcie rozgrywek, od nowego sezonu nie będzie już przepisu o młodzieżowcu. Wielu krytykowało ten zapis, z czasem zresztą ograniczany, bo przecież można było grać bez niego, ale trzeba było się liczyć z konsekwencją kary finansowej. Tymczasem w tym sezonie limit 3000 minut osiągnęli wszyscy ekstraklasowicze bez wyjątku, a, co ciekawe, po pierwszej części rozgrywek, czyli po 18 kolejkach, kilka klubów, jak GieKSa (1324 minuty), Górnik (1215) czy Legia (1101) były mocno pod kreską.

N – jak najwięksi przegrani

Jest ich kilku, a największym chyba ponownie Pogoń. W styczniu na początek przygotowań zawodnicy nie wyszli nawet na trening z powodu finansowych zaległości, potem doszło do zmiany właściciela, a drużyna prowadzona przez trenera Roberta Kolendowicza grała jak z nut i to bez względu na to, czy było to na wyjeździe, czy u siebie. Na finiszu jednak zanotowała dwie przegrane – najpierw 2 maja porażkę w finale Pucharu Polski z Legią, a w sobotę 24 maja, mimo prowadzenia w Białymstoku, tylko remis z Jagą. To się złożyło na brak medalu i przede wszystkim brak możliwości gry w europejskich pucharach. To olbrzymie straty, także finansowe. Wśród przegranych znalazł się też Raków. Na trzy kolejki przed końcem ekipa trenera Marka Papszuna jeszcze prowadziła, żeby na koniec zawalić sprawę (porażka z Jagiellonią, remis z Koroną) i o punkt dać się wyprzedzić Lechowi.

O – jak obronione strzały

O miano najlepszego bramkarza walczyła dwójka młodych golkiperów: 21-letni Kacper Trelowski z Rakowa i 25-letni Bartosz Mrozek z Lecha. Ten pierwszy zachował aż 17 czystych kont, czyli w co drugim meczu on i jego koledzy z obrony grali na zero. Z kolei urodzony w Katowicach Mrozek złapał aż 111 piłek po celnych strzałach – najwięcej w całej lidze. Na Gali Ekstraklasy Mrozek został uznany za najlepszego golkipera, za to Trelowskiego ogłoszono najlepszym młodzieżowcem.

S – jak sędziowie

Mamy dobrych rozjemców z eksportowym Szymonem Marciniakiem na czele czy ze zwycięzcą „Kryształowego gwiazdka" Piotrem Lasykiem. Nie znaczy to jednak, że sędziowskich skandali nie brakowało, żeby przypomnieć ćwierćfinał Pucharu Polski i rywalizację Legii z Jagiellonią, z udziałem właśnie sędziego Lasyka i Marciniaka za monitorem. A liga i mecz choćby Rakowa z Jagą w 32. kolejce? W tamtym spotkaniu słaby Paweł Raczkowski pochopnie wyrzucił z boiska Frana Tudora i podyktował przeciw częstochowianom dwa rzuty karne. Po tym meczu drużyna spod Jasnej Góry straciła fotel lidera.

W – jak widownia

Mecze zobaczyło w sumie prawie 4 miliony kibiców, a dokładnie 3,87 mln. Największa średnia to Lech, gdzie na trybuny przyszło prawie pół miliona ludzi, a średnia mogła imponować, bo wyniosła 29 tysięcy. Na 2. miejscu pod tym względem Legia ze średnią prawie 25 tysięcy, a na 3. spadkowicz Śląsk z 18 tysiącami na trybunach.

Z – jak zwolnieni trenerzy

Karuzela ze szkoleniowcami jak się kręciła, tak się kręci i tak też będzie w przyszłości. Tutaj nic się nie zmienia. Na ławkach w 18 klubach przewinęło się grubo ponad 30 nazwisk! W sumie jednak w dziewięciu klubach trenerzy mogli w spokoju dokończyć rozgrywki, co i tak – zważywszy na szaleństwa ekstraklasy – jest wynikiem godnym zauważenia. Chyba największym echem odbiło się zwolnienie 15 kwietnia Jana Urbana z jego Górnika. Raz, że zespół pod jego okiem grał dobrze, był na 7. miejscu, a po drugie to przecież legenda klubu, który w ostatnim czasie pokazał, jak dobrym jest trenerem, wydawałoby się skrojonym na Zabrze. Innego zdania byli jednak działacze. W Stali było trzech trenerów – Kamil Kiereś, Janusz Niedźwiedź, Ivan Djurdjević, tyle samo w Zagłębiu – Waldemar Fornalik, Marcin Włodarski, Leszek Ojrzyński, a w Śląsku nawet czterech – Jacek Magiera, Michał Hetel i Marcin Dymkowski oraz Ante Šimundža, ale ekstraklasy w stolicy Dolnego Śląska utrzymać się nie udało…

Opracował Michał Zichlarz

Sport 911ce53030



Fot. Press Focus

Pochodzący z Pszczyny Łukasz Zjawiński (w białym stroju) to czołowy snajper Betclic 1. Ligi.

Przez baraże do ekstraklasy

Rozmowa z **Łukaszem Zjawińskim**, napastnikiem Polonii Warszawa, współkrólem strzelców

Sezon zakończyliście remisem 1:1 z Ruchem Chorzów, zostając na najniższym miejscu barażowym. Co można powiedzieć o takim finiszu?

– Nasz styl na pewno nie był w tym meczu najlepszy. Najważniejsze jednak jest dopiero przed nami. Musimy skupić się na tym, co w czwartek, bo jedziemy do Płocka. Nie ma co rozpatrywać spotkania z Ruchem, trzeba skupić się na przyszłości. Tyle. Osiągnęliśmy 1:1 z dobrze grającym, intensywnym, dobrze operującym piłką rywalem – nie wiem, co mógłbym tu jeszcze dodać.

Na którą Wisłę wolał pan trafić w barażu?

– Szczerze mówiąc – można mi wierzyć lub nie – jest mi naprawdę obojętne to, z kim będę grał. Wisła Płock, Kraków, Miedź Legnica – uważam, że te drużyny są w naszym zasięgu. Zresztą wszystkie zespoły grające w barażach są na bardzo podobnym poziomie. Rywal jest mi obojętny, ale nie ukrywam, że... fajnie byłoby zagrać finał przy wielkiej publiczności w Krakowie. Chociaż Miedź też może być (śmiech). Byleby zagrać w finale.

W czym upatrujecie swoich szans w meczu z Wisłą Płock? Jesteście na 6. miejscu, a więc – teoretycznie – na najsłabszym w barażach.

– Teoretycznie tak, ale paradoksalnie, patrząc na poprzednie lata i inne drużyny z miejsc 5. czy 6., to one również wywalczały awanse – nie tylko te z 3. czy 4. Wiemy, że wykonaliśmy kolosalną przemianę, jeśli chodzi o początek sezonu, a drugą rundę. Przegraliśmy w niej tak naprawdę tylko dwa mecze i to pod sam koniec. To świetny wynik, zanotowaliśmy też serię pięciu zwycięstw. Od meczu ze Zniczem Pruszków w tamtej rundzie do meczu ze Stalą Stalowa Wola w maju zaliczyliśmy 12 spotkań bez przegranej. Uważam, że trzeba się skupiać na pozytywach. Baraże to jednak inna historia, to tylko jeden mecz i trzeba zrobić wszystko, aby go wygrać.

W Chorzowie strzelił pan swojego gola numer 23 w lidze, doganiając tym samym liderującego w zestawieniu Angela Rodado, który w ostatnim meczu Wisły Kraków nie wystąpił. W drugiej połowie opuścił pan murawę po nieco ponad godzinie. Czuje pan sportową złość, że zabrakło jednego trafienia, by wygrać klasyfikację?

– Dla mnie Angel nie jest wyznacznikiem. Jest nim sukces całej drużyny. Zdaję sobie sprawę, że nie przyszło mi się mierzyć z byle kim, bo wiemy, na jakim poziomie jest Angel, ale uważam, że byłem dla niego równorzędnym rywalem. Odzwierciedleniem tego jest fakt, że mamy tyle samo goli. Z tego, co wiem, to baraże chyba nie wliczają się do klasyfikacji, więc obaj jesteśmy zwycięzcami. Wiadomo, że chciałem być samodzielnym liderem, ale się nie udało. Mamy przed sobą ważne mecze. Patrząc na moje cele indywidualne, a cele drużynowe, lepiej by było, abym zszedł w końcówce meczu z Ruchem, bo przed nami w czwartek coś ważniejszego niż to, co ja chcę osiągnąć. Nie ma we mnie szczególnej złości. Jest lekkie wkurzenie, że nie jestem samodzielnie na pierwszym miejscu, ale równocześnie cieszę się, bo uważam, że wykonałem kawał dobrej roboty, żeby dogonić Angela.

Pochodzi pan z Pszczyny. Jak to było zagrać na Stadionie Śląskim?

– Świetne! Nie ma co ukrywać, to legendarny stadion. Gdy byłem młody, byłem zawodnikiem Ruchu i w młodzieżówkach grałem na boiskach obok tego obiektu. Na samym Stadionie Śląskim to mój pierwszy mecz i obiekt ten robi wrażenie.

W Pszczynie trochę jest kibiców Ruchu, trochę Górnika Zabrze, trochę GKS-u Tychy. A pan z którego obozu pochodzi?

– Ja nie jestem ani tu, ani tam, ale wydaje mi się, że chyba ciut bliżej mi do tej części Pszczyny, która jest bardziej zabrzańska. Aczkolwiek nie staję – jak to się mówi – ani po lewej, ani po prawej stronie. Zresztą grałem i w Ruchu, i w Górniku, więc mam szacunek dla obu tych klubów.

A jeśli Polonii nie uda się awansować, to czy dostanie się pan do ekstraklasy inną drogą?

– Nie zastanawiałem się nad tym. Uważam, że jako Polonia mamy duże szanse, by wrócić do ekstraklasy i na tym się skupiam. A to, co będzie po sezonie,zostawiam na później. Nie chcę sobie zaprzątać tym głowy.

Rozmawiał Piotr Tubacki

Obłudna prowokacja?

Prezesa Wisły Kraków zbulwersowało postępowanie Miedzi dotyczące udziału kibiców z Legnicy w półfinale baraży.

WISŁA KRAKÓW

W czwartkowy wieczór Stadion Miejski im. Henryka Reymana w Krakowie wypełni się do ostatniego miejsca. Rywalizację Wisły z Miedzią Legnica, drużyn prowadzonych przez dwóch dawnych kolegów z boiska i wiślackiej szatni – Mariusza Jopa oraz Wojciecha Łobodzińskiego – zobaczy aż 33 tysięcy osób. Zabraknie zorganizowanej grupy kibiców gości, którzy nie mogli się zdecydować czy przyjechać do Krakowa. Prezes Białej Gwiazdy ma inną teorię.

Cztery godziny później...

Gdy stało się jasne, jakie będą pary czwartkowych meczów, krakowianie ruszyli ze sprzedażą biletów. Pewny udział w wydarzeniu mieli posiadacze całorocznych karnetów. Osoby z abonamentami na rundę, członkowie Socios Wisła i osoby, które kupowały pojedyncze wejściówki na wszystkie domowe spotkanie, mogli kupować bilety w sprzedaży zamkniętej do godziny 10.59 w poniedziałek. Następnie ruszyła sprzedaż otwarta. Zainteresowanie było ogromne, dlatego Wisła otworzyła także sektory za bramką od strony Błoń, które są przeznaczone dla przyjezdnych i w przypadku ich udziału w spotkaniu jako bufor. Zrobiła to, ponieważ w poniedziałek o godz. 11.15 otrzymała informację z Miedzi, że jej kibice nie wybierają się na spotkanie. Niecałe cztery godziny później ten sam pracownik rywala wysłał wiadomość, że kibice Miedzianki jednak chcą przyjechać do Krakowa – co ustalili w czasie poniedziałkowego spotkania – i zamawiają 250 biletów.

Mocne słowa Królewskiego

Wisła odmówiła przyjęcia fanów. „Jeszcze niedawno ta sama Miedź nie wpuszcza kibiców Wisły na swój stadion, ze względu na potencjalne zagrożenie i bezpieczeństwo spowodowane przez fanów obu drużyn" – skomentował prezes Jarosław Królewski na platformie X.

„Bardziej niż oczywisty jest powód, a cele: mniejsza liczba kibiców na stadionie, wyłączone sektory buforowe, chęć pokazania, że Wisła Kraków też nie wpuszcza kibiców, uzasadnienie pod mecz ewentualny w Płocku, fantomowe zwiększenie nam kosztów ochrony i innych komplikacji już po sprzedaniu biletów kibicom. No chyba, że kilka tygodni to wystarczający czas, aby ci sami niebezpieczni kibice Wisły Kraków, którzy w liczbie kilkuset nie mogli pojechać ze względu na bezpieczeństwo do Miedzi, nagle w liczbie trzydziestu tysięcy stali się bardziej bezpieczni. Haniebna, obrzydliwa i obłudna prowokacja" – dodał, używając mocnych słów.

Ukarani za bojkotowanie

Tłem tego zamieszania jest oczywiście bojkot sympatyków Białej Gwiazdy przez większość środowiska kibicowskiego w Polsce i klubów, które boją się postawić kibolom. W kwietniu Polski Związek Piłki Nożnej nałożył na legniczan 70 tysięcy złotych kary za to, że nie wpuścili kibiców Wisły na swój stadion. Klub znad Kaczawy musiał zapłacić 20 tysięcy złotych, a większa część kwoty została zawieszona na dwa lata. Organizatorzy spotkania próbowali tłumaczyć bojkot obawami o bezpieczeństwo na stadionie, jednak stanowisko policji było odwrotne. Służbom wręcz zależało, by wiślaków wpuścić do sektora gości, bo łatwiej byłoby nad nimi zapanować w zamkniętej przestrzeni, niż przed stadionem, gdzie i tak stawili się, by wspierać drużynę. Warto tu także przypomnieć, że we wrześniu 2023 roku na stadion Miedzi nie zostali wpuszczeni niepełnosprawni fani z Krakowa, a Wisła za tę decyzję obwiniała klub z Dolnego Śląska. Absurd był tym większy, że w tamten weekend na piłkarskich obiektach odbywała się akcja „Stadiony bez barier"...

Michał Knura



Fot. Krzysztof Porębski / Press Focus

Jarosław Królewski nie gryzie się w język, więc jego słowa i wpisy mocno rozgrzewają nie tylko fanów Wisły.

Sport 911ce53030

Marzenia sprawiają, że w życiu jest cel

Rozmowa z **Sebastianem Uzarem**, członkiem Rady Programowej Fundacji „Mam Marzenie”

Sport i futbol pozwalają marzyć. Okazuje się, że nie tylko wyczynowcom o sukcesach, rekordach czy medalach. Można mieć różne marzenia... Także dzięki waszej fundacji.

– Fundacja powstała w 2003 roku. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechał wtedy Piotr Piwowarczyk, który uznał, że chciałby przenieść stamtąd ideę spełniania marzeń chorych dzieci. Tam fundacja o nazwie „Make a wish”, spełniająca marzenia dzieci cierpiących na choroby bezpośrednio zagrażające życiu, działa od lat 70. Nasza fundacja „Mam Marzenie” działa podobnie, spełnia marzenia takich dzieci. Naszymi podopiecznymi są dzieci od 3 do 18 roku życia, które walczą z chorobami onkologicznymi i genetycznymi.

O jakie marzenia chodzi?

– Wiadomo, że każdy z nas myśli o tym, co chciałby osiągnąć, gdzie chciałby pojechać, kogo chciałby spotkać. To takie marzenia, które powodują, że mamy cel w życiu…

...mimo tak ciężkiego bagażu, jaki dźwigamy ze sobą, którym jest choroba...

– … a może właśnie wtedy. Być może wtedy są najważniejsze, bo wiadomo, że każde chore dziecko ma jedno największe marzenie: być zdrowym. Ale to marzenie realizują lekarze. My jako fundacja staramy się pokazać dzieciom, że wszystko jest możliwe – łącznie z tym, że nawet najcięższa choroba jest do pokonania. Chcę podkreślić, że my nie spełniamy „ostatnich marzeń”, bo to nie jest prawda. Nie jest w ludzkim zasięgu decydować o takich sprawach…

Zdarzało się, że wasi marzyciele wracali do zdrowia?

– Oczywiście! To są fantastyczne sytuacje. Wśród nich były dzieci, w przypadku których lekarze rozkładali ręce, poświadczali, że nie są w stanie już nic zrobić, a one potem wracały do zdrowia… Nie wolno się poddawać! Wielu naszych podopiecznych miało niezbyt dobre rokowania, a potrafili z tego wyjść. Liczymy na to, że spełniając marzenia, dajemy siły. Walka z chorobą zaczyna się w głowie. Przy pozytywnym nastawieniu jest łatwiej z nią się mierzyć.



Robert Lewandowski podczas tegorocznego spotkania z podopiecznymi fundacji „Mam Marzenie”

Każdy z nas chciałby pewnie zobaczyć ważny mecz piłkarski, spotkać się z futbolową gwiazdą.

– To nie jest łatwe, czasem potrzeba szczęścia, żeby mogło się to udać. My te marzenia rzeczywiście staramy się urzeczywistniać. W środowisku piłkarskim jesteśmy dość mocno znani, a tak się składa, że wielu naszych podopiecznych marzy o możliwości spotkania choćby z Robertem Lewandowskim. A przecież Robert nie chodzi po każdym mieście, nie jesteśmy w stanie spotkać go na ulicy, tak po prostu. Trzeba to jakoś zorganizować, a my właśnie od tego jesteśmy. Okazuje się, że kiedy chore dziecko ma taką możliwość, żeby spotkać idola, to zaczyna wierzyć, że wszystko na tym świecie jest możliwe, że z pomocą dobrych ludzi można spotkać Roberta, można pojechać na igrzyska olimpijskie, zobaczyć ważny mecz, czyli wyzdrowienie też jest możliwe.

W naszej działalności chodzi właśnie o to – pokazać dzieciom, że marzenia się spełniają i wszystko jest możliwe. Marzenia te udawało nam się dotychczas realizować głównie w Warszawie. Dlatego cieszę się, że przy okazji meczu Polska – Mołdawia na Stadionie Śląskim uda się spełnić kolejne.

Rozpoczęliście współpracę ze Śląskim Związkiem Piłki Nożnej.

– Tak, początek naszej współpracy ze związkiem wziął się z faktu, że mamy podopiecznego Sebastiana z Sosnowca, który cierpi na zanik mięśni i nie jest już w stanie dojechać na mecz do Warszawy. Dzięki temu, że mecz Polska – Mołdawia odbędzie się w Chorzowie, Sebastian będzie miał okazję zobaczyć naszą reprezentację z trybun. To początek naszej współpracy ze Śląskim ZPN. Mamy nadzieję, że będzie się rozwijała i spełnimy wspólnie kolejne marzenia.

Ważne, że sportowi bohaterowie potrafią te marzenia spełniać, potrafią zareagować, potrafią się spotkać, nie boją się chorób. Dzieci mogą sobie dzięki temu uzmysłowić, że to najważniejsze marzenie, czyli żeby być zdrowym, również jest możliwe do realizacji.

Dzielicie te dziecięce marzenia na cztery kategorie.

– Pierwszą kategorię tych marzeń, którą realizujemy najczęściej, to „chciałbym dostać”. Nasi marzyciele pragną otrzymać sprzęt komputerowy, muzyczny, również sportów – choćby narty, sprzęt do nurkowania czy domową siłownię. Mieliśmy marzycieli, którzy chcieli nauczyć się pływać. Finansujemy te marzenia.

Narty? Chore dziecko marzy o nartach?

– Tak, to przecież rodzaj pasji, którą można zrealizować później, po wyzdrowieniu.

Ktoś leży w łóżku, może na te narty patrzeć i marzyć...

– Właśnie. Wie, że jest cel: „Muszę wyzdrowieć, żeby zabrać narty i pojechać w góry”. Chodzi o to, żeby każdy, nawet w najtrudniejszym momencie, miał cel, do którego dąży.

Druga kategoria to...

– … „chciałbym być”. Mamy dzieci, które chciały być lekarzami, policjantami, księżniczkami, weterynarzami, mieliśmy też… maklera giełdowego, który zobaczył, jak wygląda dom maklerski. Chciał kliknąć transakcję za milion złotych, nie każdy z nas ma taką możliwość (uśmiech). Marzyciele na ten jeden dzień stają się kimś innym. Jeśli chodzi o sport, to mieliśmy trenera piłki nożnej – dziecko, które trenowało piłkarzy w trzecioligowym klubie. Dzieci chcą zobaczyć, jak to wygląda z bliska.

Trzecia kategoria to...

– … wspomniana już „chciałbym spotkać”. Najczęściej chodzi właśnie o Roberta Lewandowskiego, ale mieliśmy też marzycieli, którzy chcieli się spotkać z Cristiano Ronaldo. Jeszcze przed pandemią udało nam się zorganizować spotkanie ze słynnym Portugalczykiem. Jeśli chodzi o kluby piłkarskie, to łatwiej jest, gdy mają własne fundacje pomagające realizować takie marzenia, wtedy kontakt jest ułatwiony. Na szczęście mamy przyjaciół, którzy nam pomagają. Przykładem może być zaprzyjaźniony hotel w Rzymie, który w zeszłym roku pomógł nam zrealizować wizytę 12-letniego marzyciela na meczu AS Roma. Faktycznie siedzieliśmy w piątym rzędzie, chłopak miał miejsce w strefie VIP i był szczęśliwy. Dotknął tego i widział piłkarzy w akcji z bardzo bliska. Kiedy wsiadaliśmy już do powrotnego samolotu do Polski, przyszedł w ostatniej chwili SMS, że… marzyciel może się jeszcze spotkać z piłkarzami!

Chyba mu pan tego nie powiedział...

– Było za późno, nie dało się nic zrobić. Nie chciałem robić przykrości...

Mówi pan, że wiele chorych dzieci chce się spotkać z Robertem Lewandowskim. Trudno prosić go o spotkanie co kilka dni...

– Mamy ustalony pewien system: Robert spotyka się z kilkoma marzycielami naraz. Wcześniej dostajemy informację o terminie, który mu odpowiada. Możemy się przygotować i zorganizować grupę. Te spotkania mają wypracowaną formułę. Najczęściej spotykamy się w sali konferencyjnej w hotelu, Robert spotyka się wtedy tylko z dziećmi. Nie ma otoczki medialnej. Rozmawia z dziećmi, rodzice i nasi wolontariusze są tłem, nie biorą w spotkaniu bezpośredniego udziału. Muszę dodać, że staramy się robić te spotkania w miarę regularnie, bo tych marzycieli jest sporo. Bardzo to przeżywają, są wzruszeni... Nasi wolontariusze czuwają nad tym, żeby dzieci nie były onieśmielone, bo potrafią zaniemówić z wrażenia. Ale widzą, że Robert jest otwarty, więc i one się otwierają… Dla nas ważne jest to, że po każdym z takich spotkań Robert upublicznia z nich zdjęcia, ludzie dowiadują się w ten sposób o istnieniu naszej fundacji, o naszej działalności. To ważne w kontekście zbierania pieniędzy na marzenia kolejnych dzieci.



Sebastian Uzar

■ Członek Rady Programowej Fundacji „Mam marzenie”. Związany z fundacją od 2006 roku, w latach 2021-2024 prezes jej zarządu. Ekspert w zakresie prawa oraz księgowości.

Ostatnia kategoria marzeń to...

– …„chciałbym zobaczyć”. To wyjazdy do Disneylandu, do Paryża, nad morze… Pod tę kategorię podchodzą mecze, choćby wspomniany w Rzymie. Mieliśmy wizyty na meczach Barcelony, Realu, Juventusu, Bayernu… Mamy marzycieli, którzy właśnie wrócili z meczu Arsenalu. W Katowicach mamy dwójkę marzycieli, którzy chcą zobaczyć mecz Liverpoolu. Oczywiście dzieci marzą też o meczach reprezentacji Polski.

Ilu podopiecznych mieliście?

– Spełniliśmy marzenia ponad 10 tysięcy dzieci w całym kraju przez 23 lata działalności. Na Śląsku działamy od 20 lat, spełniliśmy niespełna tysiąc marzeń, brakuje nam jeszcze około 20. Chcemy osiągnąć to w tym roku, wszystko rozbija się o pieniądze. Pozyskujemy je z darowizn, z półtora procent podatku, każdy z wolontariuszy poszukuje w swoim otoczeniu sponsorów na spełnienie konkretnego marzenia.

Rozmawiał Paweł Czado

Fundacja „Mam Marzenie”
ul. Św. Krzyża 7, 31-028 Kraków
+48 12 426 31 11
mail: fundacja@mammarzenie.org
Nr konta: 26 1050 1445 1000 0022 7647 0461
KRS: 0000177137
NIP: 676 225 12 70

Fundament nowej epoki

Trudno uwierzyć, jak mało pasji i ra Chelsea dotarcie do finału Ligi Kon

Kazimierz Mochlinski z Londynu/Wrocławia



Fot. IMAGO / Press Focus

Reece James to jedyny piłkarz z obecnego składu Chelsea, który pamięta wygraną w Lidze Mistrzów w 2021 roku.

Być może nigdy przedtem żadna drużyna nie awansowała do finału europejskiego pucharu z aż tak wyraźnym brakiem podniecenia. Wszyscy wokół Chelsea postrzegają swój klub przez pryzmat Ligi Mistrzów, a nie Ligi Konferencji. Przyzwyczaili się do wyższych celów.

Już zagrali finał

Ledwie cztery lata temu wygrali Champions League po raz drugi w historii. Dodali do tego Superpuchar UEFA i Klubowe Mistrzostwo Świata. Dwa lata temu wciąż brali udział w Lidze Mistrzów, gdy drugi raz z rzędu przegrali w ćwierćfinale z Realem Madryt. Z tego powodu dla Chelsea udział w Lidze Konferencji jest prawie jak granie w trzeciej lidze, podczas gdy uważa się, że zasługuje na ekstraklasę. Zajmując 4. miejsce w Premier League, londyńczycy zapewnili sobie awans do Ligi Mistrzów na następny sezon i jeśli wygrają finał LK we Wrocławiu, nie skorzystają z nagrody, jaką jest automatyczna promocja do Ligi Europy. Dlatego można stwierdzić, że Chelsea już zwyciężyła w swoim najważniejszym „finale", jak można określić niedzielną wygraną 1:0 z Nottingham Forest w ostatniej kolejce ligi angielskiej, co już oficjalnie dało jej kwalifikację do Ligi Mistrzów. Trener The Blues Enzo Maresca już zapowiedział, że taki wysiłek wymaga zmian w wyjściowej jedenastce na mecz we Wrocławiu.

Poktóceni z UEFA

Z lekceważeniem finału jakiegokolwiek europejskiego pucharu trzeba być jednak ostrożnym. Do tej pory Maresca w większości spotkań korzystał z rezerwowych graczy. Dotarł do finału, ale nie bezbłędnie, bo przegrał po drodze dwukrotnie – z Servette w eliminacjach i – czego oczywiście nie da się zapomnieć – z Legią Warszawa. W sumie w 14 spotkaniach Chelsea wygrała 12 razy, jednak lista przeciwników nie jest zbyt przerażająca... Były to: Servette, Gent, Panathinaikos, Noa Erewan, Heidenheim, Astana, Shamrock Rovers, Kopenhaga, Legia i Djurgarden. Tacy rywale nie wzbudzali zainteresowania londyńskiej publiki. Niewielkie grono wyjazdowiczów Chelsea przeżyło kilka ciekawych wypraw, na przykład do zimowego Kazachstanu. Na domowe mecze obniżono ceny biletów i zachęcano do przybycia dzieci. Mimo to Stamford Bridge nie zostało wyprzedane.

Wiosną tylko kibice gości, którzy „zakradali się" na sektory gospodarzy w wielkich ilościach, poprawiali frekwencję meczów w Lidze Konferencji. Przeciwko Legii działacze Chelsea zawstydzili się, podając niską liczbę widzów i później poprawili ją, podnosząc i przyznając, że „popełnili błąd". W półfinale z Djurgarden z kolei londyńczycy i UEFA... pokłócili się, komunikując różne wyniki frekwencyjne. Według Chelsea było to 37 428, a w oficjalnych statystykach federacji – „tylko" 32 464. Nie ulega wątpliwości, że teraz będzie całkowicie inaczej, bo finał to jednak finał. Na stadionie nie będzie wystarczającej liczby miejsc dla wszystkich zainteresowanych.

Fulham: A Intertoto?!

Tym razem Chelsea ma możliwość osiągnięcia po coś wyjątkowego. Żaden klub w historii europejskich pucharów (trwających 70 lat) nie zdobył do tej pory każdego możliwego trofeum. Były trzy: Puchar Europejski Mistrzów Krajowych (czyli Liga Mistrzów), Puchar Zdobywców Pucharów i Puchar Miast Targowych/Puchar UEFA/Liga Europy. The Blues sięgnęli po wszystkie. Triumfowali w PEZP w 1971 i 1998, w Lidze Mistrzów w 2012 i 2021, w Lidze Europy w 2013 i 2019. Teraz są 90 minut (lub ciut więcej) od dołożenia do tego Ligi Konferencji i skompletowania pełnego zbioru. Oprócz tego wygrali też nagrodę „ekstra" w postaci UEFA Super Cup w 1998 i 2021 roku. Oczywiście londyńscy sąsiedzi z Fulham mogliby protestować, przypominając, że ich rywale – w przeciwieństwie do nich samych – nigdy nie zwyciężyli w... Pucharze Intertoto. Jednak ta dawna letnia impreza nie była traktowana na tym samym poziomie co inne turnieje. Intertoto było raczej „na pocieszenie".

We Wrocławiu Chelsea może więc dokonać rzeczy historycznej. Do pewnego stopnia Liga Konferencji przypomina puchary angielskie starych lat o nazwie Full

Uczeń Pellegriniego

Rozmowa z **Enzo Marescą**, trenerem Chelsea

Po wygranym półfinale był czas na świętowanie?

– Po zwycięstwie musiałem... schować się do biura przy szatniach stadionu i oglądać dogrywkę drugiego półfinału, pomiędzy Fiorentiną a Betisem. Przebieg tego meczu bardzo mnie interesował. Nie chodziło tylko o przygotowanie się na przeciwnika w finale. Jestem Włochem i ciekawił mnie występ jednej z czołowych drużyn mojego kraju, a z drugiej strony jako piłkarz miałem mocne koneksje z hiszpańską piłką. Najważniejsze dla mnie było jednak to, że Betis prowadzi Manuel Pellegrini. Nazywam go moim „futbolowym tatusiem".

Czyli mecz z Betisem będzie dla pana szczególny?

– Bardzo się cieszę, że z nimi zagramy, szczególnie ze względu na moją głęboką więź z trenerem Pellegrinim. On tak naprawdę jest moim zawodowym ojcem. Tyle się od niego nauczyłem, tyle od niego zyskałem, budując swoją karierę... Obaj bardzo się cieszymy, że spotkamy się w finale.

Długo razem współpracowaliście?

– Byłem pod jego kierownictwem i opieką, uczyłem się od niego przez cztery lata – dwa jako gracz w jego drużynie i dwa jako jego asystent. Wiem dokładnie, co myśli o piłkarzach, jak ich ocenia i jak organizuje swoją jedenastkę na boisku. Miałem zaszczyt studiowania tego podejścia u jego boku.

Kiedy wasze drogi skrzyżowały się po raz pierwszy?

– Poznałem Manuela Pellegriniego, gdy otrzymałem ofertę transferu do Malagi, gdzie był szkoleniowcem. Trudno mi było zostawić poprzedni klub i dostosować się do zmiany, jednak później okazało się, że moja kariera piłkarska wiele zyskała. To właśnie trener Pellegrini był osobą, która pierwsza dostrzegła we mnie potencjał do prowadzenia piłkarzy i trenowania ich. Bez niego być może nie zostałbym trenerem. Spędziłem dwa lata, grając u niego w Maladze, a kilka lat później dał mi u siebie pierwszą poważną pracę trenerską – jako jego asystent w West Hamie, gdzie był pierwszym szkoleniowcem. Ponownie ten czas był dla mnie niezwykle cenny. Dalej uczyłem się, jak być trenerem i jak wykonywać swoją pracę skutecznie.

Co więcej, dzięki sprowadzeniu mnie do Anglii i zatrudnieniu w WHU Manuel Pellegrini przyczynił się do tego, że poznałem specyficzne miasto, jakim jest Londyn. Dzięki temu mam tu możliwość – i przywilej – pracować jako pierwszy trener Chelsea. Miał na mnie tak wielki wpływ, że obecnie trudno mi określić w wystarczającym stopniu wdzięczność, jaką mam do niego. W West Hamie u jego boku „urosłem". Można nawet powiedzieć, że w tamtym czasie powstałem jako trener, a także dostosowałem się do życia w Anglii i w Londynie. A nie było to wcale takie łatwe, mając na uwadze moje dotychczasowe życie i doświadczenie. Obecnie żyję tu i pracuję jako trener, co zawdzięczam bezpośrednio jednej osobie.

Co ceni pan najbardziej u Pellegriniego?

– Najważniejsze w naszej przyjaźni jest to, że jest po prostu bardzo dobrym człowiekiem. Zawsze mówi ci prawdę, nie kręci, nic nie ukrywa. Zawsze próbuje być bezpośredni i szczery ze swoimi piłkarzami. To było dla mnie bardzo atrakcyjne. Też próbowałem się nauczyć takiego honorowego zachowania. Miał na mnie duży wpływ, więc teraz sam staram się wprowadzić podobne podejście w moją pracę trenerską i w moje stosunki z zawodnikami. Uważam się za ucznia Pellegriniego.

Dalej macie ze sobą dobry kontakt?

– W dalszym ciągu mamy domy bardzo blisko siebie. Teraz nie w Londynie, ale w południowej Hiszpanii. Mimo tego że Manuel Pellegrini pochodzi z Chile, to pracuje w Hiszpanii. Ja oczywiście jestem Włochem, ale mam wiele połączeń z południowymi rejonami Hiszpanii. Bardzo często spotykamy się prywatnie, po koleżeńsku, także aby porozmawiać o futbolu. Ogromnie cenię jego analizę piłkarską i wszystkie fachowe rady, które od niego dostaję. Gdy dowiedzieliśmy się, że zagramy w finale, znowu się spotkaliśmy. Dla nas obu będzie to starcie pełne emocji i wielkich wrażeń. Uważam, że jestem bardzo szczęśliwy, mogąc przeżyć coś takiego. Nie chodzi tylko o grę przeciwko ważnemu i bliskiemu mi trenerowi, znajomemu – ale o sam fakt europejskiego finału!

Real Betis to klub z Sewilli, a pan jako piłkarz spędził tam cztery lata – tyle że w derbowym rywalu, Sevilli FC.

– To prawda. Sewilla to moje miasto, jeśli chodzi o dom w Hiszpanii. W Sevilli grałem przez cztery lata, a Betis jest jej wielkim derbowym przeciwnikiem. Myślę, że zagrałem z nimi siedem razy, a raz, gdy wygraliśmy 1:0, strzeliłem jedynego, zwycięskiego gola! Zdaję sobie sprawę, że w części miasta, gdzie kibicuje się Betisowi, nie lubią mnie (śmiech). Tym bardziej że za mojego czasu odnosiliśmy z Sevillą sukcesy, co musiało zakłóć rywali w sercach. Wygraliśmy wtedy dwukrotnie Ligę Europy i Superpuchar UEFA. Nasza Sevilla dominowała w Sewilli! Rozumiem więc, że to niemożliwe, aby kibice Betisu mnie pokochali (śmiech)!

Czyli Sewilla to kolejny wyjątkowy aspekt finału Ligi Konferencji.

– Z Sewillą czuję głęboką więź i nie chodzi tylko o piłkę nożną. Spotkałem tam moją żonę, która pochodzi z Sewilli. Mam tam więc rodzinę, dodatkowo także urodził się mój pierwszy syn. Często tam wracam. Zawsze cieszę się, gdy moje „adoptowane" miasto osiąga sukces, lecz nie mam żadnych emocji związanych z przygotowaniami do finału z Betisem. Nie ma żadnych wątpliwości, że chcę wygrać. Nie martwię się, że wywołam smutek w dużej części bliskiego mi miasta. Tak jak nie mam dodatkowej motywacji w tym, że mogę pokonać akurat Betis. Po prostu chcę wygrać finał, ale tylko i wyłącznie dla Chelsea. To mój jedyny cel i jedyne źró-



Sport 911ce53030

dości wyzwala wśród piłkarzy, trenerów i kibiców ferencji. W osiągnięciu tym nie widać żadnych emocji.

Members' Cup i Zenith Data Systems Cup, dzisiaj prawie zapomniane, za wyjątkiem kibiców The Blues starszego pokolenia. Były to puchary stworzone po to, by zastąpić europejskie konkurencje dla angielskich klubów, które po tragedii na Heysel w 1985, sprowokowanej przez chuliganów Liverpoolu, zostały zawieszone przez UEFA. Rywalizowano o nie przez siedem sezonów, kończąc w 1992, gdy rozpoczęła się era Premier League.

Podobnie jak Ligę Konferencji wiele klubów lekceważyło Full Members' Cup – aż docierały do finału, który co roku odbywał się na Wembley. Wówczas, gdy Liverpool, Manchester United i Arsenal goniły po większe nagrody, Chelsea w tamtych latach nie miała podobnych sukcesów. The Blues dotarli do pierwszego finału FMC 39 lat temu i w niezwykle ekscytującym meczu pokonali Manchester City 5:4, ze snajperem Davidem Speediem, strzelającym pierwszego hat tricka na Wembley od czasu Geoffa Hursta w 1966, kiedy Anglia pokonała RFN 4:2 w finale mundialu. Spediego oglądało aż 67 236 widzów.

Jeszcze więcej widzów – 76 369 – przybyło na Wembley w 1990 roku na finał Zenith Data Systems Cup (po zmianie nazwy pucharu dzięki inwestycji sponsorów). Chelsea znowu zgarnęła trofeum, zwyciężając 1:0 z Middlesbrough. Były to ogromnie ważne nagrody w historii klubu w okresie, kiedy spadł i ponownie powoli zaczynał się podnosić.

Gigantyczna przebudowa

Niedawny dołek Chelsea był mniej głęboki, lecz bardziej dramatyczny, ze zmianą właścicielską w maju 2022 – z rosyjskiej na amerykańską. Pierwszy sezon po sprzedaży zakończyła na 12. miejscu i w ubiegłym roku w ogóle nie zagrała w pucharach, co przydarzyło się dopiero drugi raz w ciągu ostatnich 28 lat! Przez trzy sezony sprawdzono pięciu trenerów, a z kadry, która w 2021 roku wygrała Ligę Mistrzów, został... tylko jeden zawodnik, obecny kapitan Reece James. Przebudowa była tak wielka, że w zakończonym właśnie sezonie Premier League Chelsea ustanowiła rekord najmłodszego wyjściowego składu w 33-letniej historii ligi – tylko 24 lata i 36 dni. W półfinale Ligi Konferencji z Djurgarden w Chelsea zadebiutował 16-letni Reggie Walsh, najmłodszy piłkarz w barwach klubu od 1967. Mecz ze Szwedami Anglicy zakończyli z pięcioma nastolatkami na boisku. The Blues bardzo stawiają na juniorów, ale raczej nie spodziewajmy się, że w finale we Wrocławiu będzie podobnie.

Stawka jest bowiem ciut większa, bo Chelsea stara się o pierwszy puchar pod nowym właścicielem. W oficjalnym programie meczowym na Stamford Bridge klub przestał prezentować listę zdobytych pucharów, nie chcąc robić sobie wstydu poprzez porównania do poprzednika, Romana Abramowicza. Po sukcesie we Wrocławiu może się to zmienić. Tak jak kiedyś Full Members' Cup stał się początkiem wielkich czasów dla Chelsea, tak teraz istnieje nadzieja, że nowa epoka zostanie zbudowana na fundamencie zwycięstwa w Lidze Konferencji 2025.



Dla trenera Enzo Mareski finał Ligi Konferencji będzie wyjątkowy z kilku powodów.

Fot. IMAGO / Press Focus

Kazimierz Mochlinski z Londynu/Wrocławia

dło motywacji. Nic innego się nie liczy.

Niektórzy mówią, że Liga Konferencji nie ma większego znaczenia dla klubów Premier League. Jak pan do tego podchodzi?

– Dla mnie osobiście to bardzo ważne, aby wygrać finał. Chelsea okazała dużą wiarę we mnie, kiedy mnie zatrudniła i chcę się za to odwdzięczyć. Poparli mnie, gdy w tym roku nam nie szło tak, jak byśmy chcieli. Chcę pokazać moją wdzięczność. Otrzymałem kontrakt, który nie jest krótki, podpisany na pięć lat. To pomocne, gdy klub ciągle podkreśla swój zamiar dotrzymania umowy. Ponadto zwycięstwo jest dla mnie ważne dlatego, że to niezwykła możliwość, żeby stać się pierwszym klubem w Europie, który zdobędzie wszystkie puchary kontynentalne (więcej w tekście obok – przyp. red.). Dodatkowo jeszcze... kocham swoich piłkarzy! To wspaniałe grono graczy, którzy od samego początku ciężko ze mną pracowali. Słuchają mnie i starają się wykonywać to, co im wskazuję. Cieszą mnie duże postępy, które zrobiliśmy w tym roku. Budujemy coś szczególnego, a Liga Konferencji jest punktem początkowym. Jest wyjątkowo ważna w budowaniu psychologii zwycięstwa. Wygrane mecze w drodze do finału także w tym pomogły. Dla młodych graczy debiutujących na tym poziomie to coś wspaniałego. Zdobycie trofeum może dać nam podstawy, by dalej się rozwijać, wygrywać więcej i zdobywać kolejne tytuły.

Marzą o triumfie

Betis ma szansę na swoje pierwsze trofeum w europejskich pucharach.

LIGA KONFERENCJI

Zespół Manuela Pellegriniego zajął w La Lidze 6. miejsce, które zagwarantowało temu hiszpańskiemu klubowi awans do fazy ligowej Ligi Europy. Teraz przed drużyną kolejny cel, czyli zwycięstwo w Lidze Konferencji. Tyle że Chelsea przystępuje do tego spotkania w roli faworyta, a także w znacznie lepszej formie. Betis nie wygrał od pięciu spotkań, ale tylko raz zaznał porażki, z Atletico Madryt 1:4. Drużyna ze stolicy Andaluzji pokazywała jednak w tym sezonie, że potrafi grać z lepszymi od siebie i londyńczycy muszą się mieć na baczności w finałowym spotkaniu. Motywacja ze strony Betisu będzie tym większa, że klub nie ma zbyt wielu trofeów w swojej historii, która sięga już ponad stu lat. Zielono-Biali mistrzem Hiszpanii byli w 1935 roku i jest to jedyny ligowy tytuł. Statystyki lepiej wyglądają w Pucharze Króla, w którym triumfowali trzykrotnie, a ostatni raz w sezonie 2021/22. Jeśli chodzi o europejskie rozgrywki to Betis... nie ma tam żadnych sukcesów, dlatego kibice zespołu z Andaluzji liczą, że ten sezon będzie przełomowy. Tym bardziej, że z zazdrością patrzą na statystki lokalnego rywala, Sevilla FC, która ma znacznie więcej sukcesów, a w europejskich rozgrywkach triumfowała osiem razy, licząc zwycięstwa w Lidze Europy oraz w Superpucharze w 2006 roku.

Kibice wierzą w swojego doświadczonego szkoleniowca, Manuela Pellegriniego, który od pięciu lat konsekwentnie stara się sprawić, żeby Betis był coraz lepszy. 71-letni Chilijczyk już teraz jest dumny ze swojego zespołu i z tego, gdzie razem dotarli. – Czuję ogromną radość, bo to efekt ciężkiej pracy, jaką wykonujemy przez wszystkie te lata, odkąd jestem w klubie. To pokazuje, jak sumiennie pracujemy – nie tylko w tym sezonie, ale przez pięć sezonów, które tu spędziliśmy. Zawsze mieliśmy ambitne cele i chcieliśmy osiągać wielkie rzeczy – stwierdził Pellegrini. Trener Betisu ma swoją wewnętrzną motywację do pokonania Chelsea, ponieważ zmierzy się z Enzo Marescą, który najpierw był piłkarzem Malagi, kiedy prowadził ją Pellegrini, a w późniejszych latach Włoch został jego asystentem w West Hamie. Chilijczyk ceni sobie 45-latka, ale nie chce zostać pokonany przez swojego ucznia.

Największym zagrożeniem dla Chelsea ma być dwójka ofensywnych zawodników – Isco oraz Antony. 33-letni Hiszpan jest liderem zespołu i najlepszym strzelcem Betisu w tym sezonie. Ofensywny pomocnik zdobył 12 goli i zanotował 10 asyst w 31 oficjalnych spotkaniach we wszystkich rozgrywkach. Trener Pellegrini w samych superlatywach mówił o nim. – Isco jest wzorem dla młodszych zawodników, zarówno ze względu na to, co osiągnął, jak i na liczbę trofeów, które zdobył. Jest przykładem w tym, jak codziennie trenuje i jak wysokie stawia sobie wymagania – z piłką i bez niej – powiedział.

Drugi kluczowy piłkarz to Antony, który dołączył do zespołu w zimowym okienku transferowym, przechodząc na wypożyczenie z Manchesteru United. Brazylijczyk od razu dobrze wkomponował się w zespół i zaczął stwarzać zagrożenie pod bramkami rywali. Już w debiucie przeciwko Athleticowi Bilbao zaliczył asystę i został wybrany zawodnikiem meczu. 25-latek rozegrał łącznie 25 spotkań dla Betisu, zdobywając dziewięć bramek, z czego cztery w Lidze Konferencji. Dołożył także pięć asyst we wszystkich rozgrywkach. Defensorzy The Blues mają więc na kogo uważać.

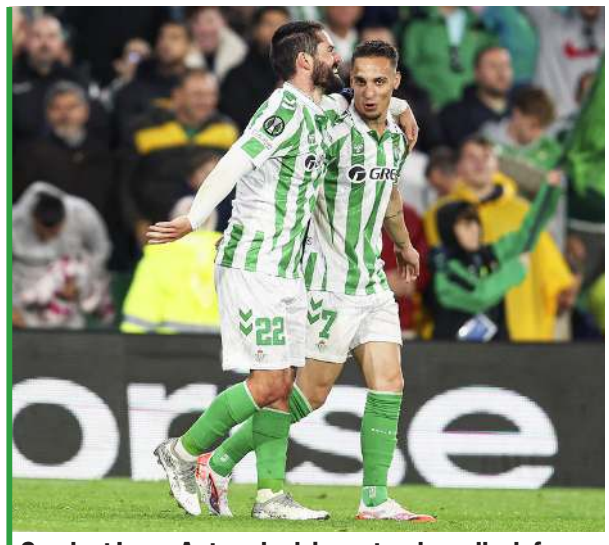
Miłosz Cebo

FINAŁ LIGI KONFERENCJI

Wrocław (Stadion Miejski), 28 maja, godz. 21.00

Betis – Chelsea

Sędziuje - Irfan Peljto (Bośnia i Hercegowina)



Fot. PRESSINPHOTO/SIPA USA / Press Focus

Czy duet Isco – Antony będzie postrachem dla defensorów Chelsea?

To niesprawiedliwe

Elversberg jednak nie pobije rekordu Bundesligi.

NIEMCY

Bo Elversberg do tej Bundesligi nie awansuje i nie zostanie najmniejszą mieściną w historii rozgrywek. Mimo przewagi przegrał w rewanżu u siebie z Heidenheim, tracąc bramkę na 1:2 w piątek doliczonej minucie (w pierwszym meczu było 2:2). FCH tym samym utrzymało się w elicie, a Die Elv zagrają trzeci sezon z rzędu na zapleczu. Będzie im jednak bardzo trudno powtórzyć sukces, jakim było trzecie miejsce, bo niewykluczone, że zostaną zamieszani w rozpaczliwą walkę o utrzymanie. Elversberg będzie bowiem rozebrany. Trzech kluczowych piłkarzy – obrońca Elias Baum, pomocnik Muhammed Damar i napastnik Fisnik Asllani – wrócą do klubów, z których byli wypożyczeni. Niewykluczone są także odejścia innych wyróżniających się graczy. Dodatkowo Bundesliga zerka w stronę ojca sukcesu, trenera Horsta Steffena (czy weźmie Werder, w którym kontraktu nie przedłużył trener Ole Werner?), a i dyrektor sportowy Nils-Ole Book przyciąga uwagę najwyższej klasy rozgrywkowej. Obaj panowie nie chcieli na razie komentować tych doniesień, muszą przetrawić porażkę. Skrzydłowy Elversberga Lukas Petkov swoimi słowami zobrazował uczucia, jakie panują teraz nie tylko w zespole, ale w ogóle w całym Zagłębiu Saary. – To jest po prostu niesprawiedliwe. W tym barażu byliśmy lepszym zespołem, a w drugiej lidze graliśmy najlepiej – powiedział reprezentant Bułgarii.

Piotr Tubacki

Elversberg – Heidenheim 1:2 (1:1)
0:1 – Honsak (9), 1:1 – Fellhauer (30), 1:2 – Scienza (90+5)

Sport 911ce53030

KRÓTKA PIŁKA

Z Pogoni do GieKSy

■ Katowicki klub się wzmocnił. Ósmą drużynę zakończonych właśnie rozgrywek PKP BP Ekstraklasy zasilił Kacper Łukasiak, który w poprzednim sezonie reprezentował Pogoń Szczecin. W barwach portowego klubu wystąpił w 30 spotkaniach, w których zdobył dwa gole, na początku sezonu z Koroną i Widzewem. Za nim pierwszy sezon w najwyższej klasie rozgrywkowej. Jest wychowankiem AP Pogoń Szczecin, grał na wypożyczeniu w pierwszoligowej Skrze Częstochowa (jesień 2022) i w Górniku Łęczna (sezon 2023/24). Z katowickim klubem podpisał dwuletni kontrakt.

Grecka strzelba

■ Nowym zawodnikiem mistrza Polski z 2024 roku został Dimitris Rallis. 20-letni grecki napastnik podpisał z Jagiellonią Białystok kontrakt do czerwca 2028. W bieżącym sezonie w holenderskiej Eredivisie w barwach sc Heerenveen rozegrał 23 spotkania i strzelił dwie bramki. Został powołany do młodzieżowej reprezentacji Grecji na towarzyski mecz 4 czerwca z Serbią.

Odchodzą z Ruchu

■ Jakub Adkonis, Filip Borowski, Szymon Karasiński, Wojciech Łaski, Jakub Myszor i Bartłomiej Barański – ci piłkarze, którzy wiosną byli wypożyczeni do Ruchu, oficjalnie pożegnali się z 14-krotnymi mistrzami Polski. Adkonis (Legia), Borowski (Lech) i Łaski (Jagiellonia) nie wnieśli wiele do drużyny, Myszor (Raków) miał tylko momenty. Barański po tym, jak zimą wykupił i z powrotem wypożyczył go Lech, stracił miejsce w składzie. Ruch chciał zatrzymać Karasińskiego, ale nie dogadał się z Zagłębiem Lubin. Niebiescy nie skomentowali sytuacji Jehora Cykały, który jest wypożyczony z czeskich Teplic. On jednak prawie na pewno zostanie przez Ruch wykupiony, choć z racji jego dobrych występów nie można wykluczyć, że... od razu będzie sprzedany.

Szweda odsunięty

■ Zarząd Olimpii Elbląg poinformował o odsunięciu od prowadzenia zespołu trenera Karola Szwedy. 44-letni szkoleniowiec prowadził Olimpię od 12 grudnia 2024 roku, kiedy zastąpił Karola Przybyłę. Szweda nie zdołał utrzymać elblążan w Betclic 2. Lidze. W ostatnich meczach drużynę poprowadzi dotychczasowy asystent, Damian Hebda. Przyjdzie mu zadebiutować z wysokiego „C", bo w sobotę do Elbląga przyjedzie lider, Polonia Bytom, a 7 czerwca pojedzie z zespołem do Grodziska Mazowieckiego na mecz z Pogonią, która - tak jak Polonia - awansowała na zaplecze ekstraklasy.

PUCHAR POLSKI NA ŚLĄSKU

1/2 FINAŁU: GKS II Katowice - Szombierki Bytom, LKS II Goczałkowice - Górnik II Zabrze - oba mecze w środę o 18.00.

4. LIGA ŚLĄSKA

ROW 1964 Rybnik - Odra Wodzisław Śląski - środa, 18.00.

5. LIGA ŚLĄSKA

GRUPA I: Silesia Miechowice - Szczakowianka Jaworzno - środa, 18.30.

ŚLĄSKA KLASA OKRĘGOWA

GRUPA I: Gwarek Zabrze - ŁTS Łabędy - środa, 17.30.

GRUPA II: LKS Kamienica Polska - Sparta Szczekociny 4:0.

1. Koniecpol	27	60	70:22
2. Kamieńskie Młyny	27	59	69:31
3. Golce	27	57	81:32
4. Kalety	27	56	63:22
5. Stradom	27	50	63:33
6. Kroczyce	27	43	55:30
7. Boronów	27	43	56:36
8. Konopiska	27	42	55:45
9. Kościelec	27	40	53:55
10. Kamienica Polska	27	34	51:52
11. Lgota Mała	27	33	31:50
12. Glinica	27	31	35:74
13. Lubliniec	27	24	38:57
14. Szczekociny	27	15	27:73
15. Kochcice	27	13	24:88
16. Popów	27	10	24:95

GRUPA V: JUWe Jaroszowice - Czarni Jaworze 0:2.

1. Goczałkowice II	27	78	130:20
2. Lędziny	27	66	78:28
3. Podbeskidzie III	27	60	88:36
4. Jaworze	27	47	51:26
5. Wyry	27	47	53:42
6. Dankowice	27	39	63:40
7. Bronów	27	39	50:56
8. ZET	27	34	36:58
9. Piast Gol	27	33	59:62
10. Studzionka	27	31	51:71
11. Jaroszowice	27	30	49:73
12. Suszec	27	29	40:78
13. Bestwina	27	27	35:65
14. Hecznarowice	27	24	33:73
15. Zabrzeg	27	18	26:71
16. Kobiernice	27	16	22:65

GRUPA VI: KS Ślemień - Spójnia Zebrzydowice - środa, 17.30.

(m)



Fot. Facebook Świtu Szczecin

Żeby zdobyć trzy punkty w Cygańskim Lesie, beniaminek ze Szczecina musiał przejechać aż 2700 kilometrów!

Faworyt zrobił swoje

Kwadrans dobrej gry to zbyt mało, by myśleć o pokonaniu takiego zespołu jak Świt Szczecin. Popełniając tak fatalne błędy w defensywie Rekord Bielsko-Biała nie ma prawa myśleć o utrzymaniu.

BETCLIC 2. LIGA

OCENA MECZU ★★★

Rekord Bielsko-Biała – Świt Szczecin

1:3 (0:3)

0:1 - Pańkowski, 15 min (samobójcza), 0:2 - Aftyka, 27 min, 0:3 - Aftyka, 42 min, 1:3 - Rajczykowski, 85 min (samobójcza)

REKORD: Kaczorowski - Pańkowski (46. Wojciechowski), Boczek, Kareta, Żyrek - Wyroba (77. Soszyński), T. Nowak (46. Klichowicz), Kempny (46. Śliwka), Ryś, Ciućka - Świderski (77. K. Kasprzak). Trener Dariusz RUCKI.

ŚWIT: Rajczykowski - Nowicki (46. Fornalik), Remisz, Janiszewski, Góral, K. Nowak - B. Kasprzak, Wojdak (46. Kalenik), Kort (90. Ciechanowski) - Ropski, Aftyka (75. Stasiak) Trener Tomasz KAFARSKI.

Sędziował Patryk Świerczek (Brzesko). **Widzów** 450.
Żółte kartki: Ryś, Boczek, Klichowicz – Stasiak.

Piłkarz meczu – Grzegorz AFTYKA

Miało być bez kalkulacji w wykonaniu Rekordu i było – tyle że nie z takim efektem, jakiego oczekiwali bielszczanie. Od pierwszego gwizdka zaległego meczu 31. kolejki (miał zostać rozegrany 18 maja, ale nie pozwoliło na to zalane boisko i warunki atmosferyczne) inicjatywę posiadali goście, zaś gospodarze raz za razem popełniali proste błędy w obronie. Pierwszą groźną sytuację już w 2 minucie sprokurował Wiktor Kaczorowski, który wyszedł daleko poza pole karne do długiego podania i... odegrał piłkę wprost pod nogi przeciwnika. W pole karne wpadł Grzegorz Aftyka, ale jego płaski strzał bramkarz Rekordu sparował na rzut rożny. W kolejnych minutach miejscowi mieli duży problem z upilnowaniem szalejącego na prawej stronie Aftyki i Szymona Nowickiego, którzy siali istny popłoch w szeregach obronnych gospodarzy. Sygnałem ostrzegawczym była sytuacja z 6 minuty, gdy po dośrodkowaniu w pole karne z kilku metrów minimalne nad poprzeczką główkował Krzysztof Ropski. Kolejna akcja z prawej strony przyniosła zasłużone prowadzenie przyjezdnych, gdy po płaskim wstrzeleniu piłki w pole karne przez Dawida Korta do własnej bramki skierował ją Mateusz Pańkowski. Dwa kolejne gole to znakomita współpraca duetu Aftyka-Kort. Świt za sprawą swojego napastnika w 24 minucie podwyższył wynik, a krótko przed przerwą Aftyka wykorzystał długie podanie i sytuację sam na sam z Kaczorowskim.

Kilka minut po zmianie stron goście stworzyli sobie dwie kolejne doskonałe sytuacje. Najpierw groźnie pod poprzeczkę uderzył Kacper Nowak, a po chwili Kort, lecz w obu przypadkach dobrze spisał się bramkarz bielszczan. Na kwadrans przed końcem spotkania szczecinianie wypracowali jeszcze jedną stuprocentową okazję, którą powinni obnażyć błędy w defensywie Rekordu, ale będący w sytuacji sam na sam Ropski fatalnie spudłował. Ostatnie minuty należały do zespołu trenera Dariusza Ruckiego. Nadzieje dał gol kuriozum z 85 minuty. Wydawało się, że niegroźne dośrodkowanie Zbigniewa Wojciechowskiego bez problemu złapie Jakub Rajczykowski, ale młody bramkarz... wrzucił sobie piłkę do siatki. Po chwili w poprzeczkę trafił Jakub Ryś, a w doliczonym czasie gry świetnej okazji nie wykorzystał Kacper Kasprzak i punkty pojechały do Szczecina. Dzięki wygranej Świt awansował do strefy barażowej o awans, a Rekord pozostał pod „kreską" i będzie miał jeszcze dwie szanse, by się z niej wydostać. Pierwsza już w niedzielę – starcie z Wisłą Puławy urasta do miana meczu o wszystko, czyli o... baraże o utrzymanie.

(gru)

1. Polonia	32	71	69:33
2. Pogoń (b)	32	68	59:32
3. Wieczysta (b)	32	60	61:26
4. Chojniczanka	32	59	44:26
5. Podbeskidzie (s)	32	48	42:34
6. Świt (b)	32	48	56:52
7. Kalisz	32	47	35:37
8. Hutnik	32	46	45:55
9. Zagłębie (s)	32	42	45:50
10. Resovia (s)	32	41	43:46
11. ŁKS II	32	41	40:47
12. Olimpia G.	32	40	40:44
13. Jastrzębie	32	38	32:32
14. Wisła	32	37	42:62
15. Rekord (b)	32	35	46:53
16. Zagłębie II	32	31	48:55
17. Skra	32	22	29:55
18. Olimpia E.	32	19	27:64

1-2 – awans, 3-6 – baraże o awans, 13-14 – baraże o utrzymanie, 15-18 – spadek

Sport 911ce53030


Fot. PAP / Szymon Łabiński

Walka godna wielkiego finału mistrzostw Polski.

Daszek wykonał wyrok

Nafciarze w końcówce dogonili wynik, dzięki czemu na rewanż do Kielc pojadą z handicapem na drugie z rzędu mistrzostwo Polski.

ORLEN SUPERLIGA MĘŻCZYZN

To będzie prawdziwa sportowa uczta, której nie można przegapić - tak gospodarze wczorajszego finału zapowiadali kolejny odcinek kultowej w kraju „świętej wojny". Wtorkowy mecz był początkiem rywalizacji o mistrzostwo Polski do dwóch zwycięstw. W tym roku rywalizacja rozpoczęła się w płockiej Orlen Arenie. W tym sezonie oba zespoły mierzyły się dwa razy. Na Mazowszu Industria przegrała czterema bramkami, w Hali Legionów po kapitalnym i pełnym emocji meczu wygrała jedną. Przed walką o zdefiniowanie na nowo hierarchii klubowej polskiej piłki ręcznej oba zespoły były maksymalnie zdeterminowane. Wciąż aktualni mistrzowie byli bardzo zmotywowani, aby wygrać Superligę drugi raz z rzędu i zrewanżować się za porażkę w finale Pucharze Polski. Z kolei wicemistrzowie zamierzali powrócić na tron po rocznej nieobecności.

Gospodarze zaczęli mocno i agresywnie, bo od dwóch trafień Tomasza Pirocha i dobrych interwencji Viktora Hallgrimssona. Ale po 10 minutach był już remis, a w drugim kwadransie kielczanie wyszli na 4-bramkowe prowadzenie, po tym jak Miłosz Wałach obronił rzut karny Przemysława Krajewskiego. Jak się spodziewaliśmy, tempo było szalone, emocje rosły z każdą minutą; żółtą kartką ukarany został Xavier Sabate, który za moment poprosił o czas, bowiem Wiślacy byli już 8 minut bez bramki. Od tego momentu Płock rzucił dwie bramki, jednak kielczanie natychmiast odpowiedzieli tym samym. W 24 minucie po zderzeniu z Dmitrem Żytnikowem padł Alex Dujszebajew, po drugiej stronie wylecieli z boiska po raz drugi Tomasz Gębala, suplesem powstrzymujący Gergo Fazekasza, i Michał Olejniczak. Na 28 sekund przed syreną o czas poprosił Tałant Dujszebajew i Olejniczak ustalił wynik po 30 minutach. - Bardzo dużo walki, Wisła jest dobrze przygotowana. Najważniejsze że wykorzystujemy szanse, i żeby nie zabrakło nam sił do końca meczu - mówił w przerwie zaliczający dobre spotkanie „Olej".

Po zmianie stron najlepsza polska defensywa uszczelniła zasieki, co natychmiast znalazło odzwierciedlenie w wyniku. Po 40 minutach Nafciarze złapali kontakt ze Scyzorykami. W 45 minucie VAR uratował przed czerwoną kartką Gębalę, a Orlen Arena zaczęła odlatywać, ponieważ wchodziliśmy w decydujący moment spotkania. Doping kibiców przemotywował gospodarzy, którzy dwa razy zgubili piłkę przy ponownym wyniku -4, zmuszając trenera Sabate do przerwy na żądanie. W ostatnie 10 minut Niebiesko-biało-niebiescy wchodzili już tylko z golem straty i teraz trener Dujszebajew prosił swoich zawodników na 60-sekundowe ustalenie taktyki. Orlen Wisła długo goniła wynik i sztuka odzyskania prowadzenia udała się jej po trafieniach Lovro Mihicia i Żytnikowa w 54 i 55 minucie. W 57 minucie w końcu zapracował na czerwoną kartkę Gębala. Gdy do końca zostało 90 sekund, na ławkę kar powędrował Przemysław Krajewski, jednak Żytnikow się tym nie przejął, pokonując Bekira Cordaliję. Na 16 sekund przed końcem ostatnią przerwę zadysponował trener Wisły, a na 2 sekundy przed syreną Michał Daszek zdobył zwycięską bramkę, choć sędziowie jeszcze sprawdzili jej prawidłowość na monitorze. Na osłodę porażki MVP meczu został wybrany Olejniczak. - W drugiej połowie straciliśmy 19 bramek i to był nasz problem. Niestety, zabrakło jednego trafienia, jednej lepszej akcji w ataku - skomentował na gorąco Tomasz Gębala.

Drugie spotkanie zostało zaplanowane na 4 czerwca w Kielcach. Jeżeli do rozstrzygnięcia potrzebny będzie trzeci mecz, dojdzie do niego w Płocku, ponieważ w sezonie zasadniczym 1. miejsce zajęła Orlen Wisła.

Zbigniew Cieńciała

O 1. MIEJSCE

■ **Orlen Wisła Płock - Industria Kielce 30:29 (11:14)**

PŁOCK: Hallgrimsson, Alilović - Daszek 6/3, Piroch 6/4, Fazekas 2, Serdio 3, Szita 1, Krajewski 1, Susnja, Terzić, Zarabec 2, Sroczyk 1, Somolia, Żytnikow 3, Dawydzik 2, Mihić 3. Kary: 12 min. Trener Xavier SABATE.

KIELCE: Wałach, Cordalija - Moryto, Olejniczak 3, Karacić 2, Monar 2, Kaddach 1, Nahi 2, T. Gębala 3 (CZK, 57 min - gradacja kar), Sićko 6/5, A. Dujszebajew 6, Karalek 3, Kounkoud, D. Dujszebajew 1, Surgiel, Rogulski. Kary: 12 min. Trener Tałant DUJSZEBAJEW.

Sędziowali: Maciej Łabuń i Jakub Jerlecki (obaj Szczecin). **Widzów** 5100.

Przebieg meczu: 1:0 (2), 2:1 (5), 3:2 (8), 4:4 (13), 5:7 (17), 6:9 (21), 8:12 (25), 11:14 (30), 12:15 (33), 16:18 (38), 20:21 (46), 21:24 (50), 25:25 (54), 27:27 (57), 30:29 (60).

Stan rywalizacji (do dwóch zwycięstw): 1-0.

To był cud

Nie miało prawa być tego zwycięstwa – nie dowierzali szczypiorniści i Kim Rassmusen, duński trener Ostrovii, którzy w rywalizacji o brązowy medal prowadzą z Górnikiem Zabrze.

ORLEN SUPERLIGA MĘŻCZYZN

To, co w poniedziałkowy wieczór wydarzyło się w 3mk Arenie w Ostrowie Wielkopolskim, nie miało prawa się wydarzyć. To był cud. Ale to jest też to, czym jest ten zespół w całym sezonie - przyznawał trener Ostrovii Kim Rasmussen, którego podopieczni wygrali z Górnikiem Zabrze pierwszy mecz o brązowy medal, choć to rywale praktycznie przez większą część spotkania kontrolowali wydarzenia na parkiecie.

Niesamowity łowca „siódemek"

W 49 minucie, po bramce Jakuba Szyszki, prowadzili 24:19 i od tego momentu niesieni niesamowitym dopingiem pełnych (2746) trybun dostali skrzydeł. W niesamowitej końcówce - oglądanej przez kibiców na stojąco - doprowadzili do wyrównania 25:25, a w konkursie rzutów karnych lepiej wytrzymali wojnę nerwów, zwyciężając 4:3. Zwłaszcza ich fenomenalnie usposobiony bramkarz Sandro Mestrić, który w całym meczu obronił 5 „siódemek" Trójkolorowych. - Gdybym miał odpowiedzieć, jak myśmy ten mecz wygrali, to bym nic nie powiedział, bo... totalnie tego nie wiem - mówił z kolei środkowy rozgrywający, zdobywca 6 bramek, Kamil Adamski. - Tak jak trener powiedział - to był cud. Nic się w tym meczu nie układało po naszej myśli. W ataku wyglądało to fatalnie. Jakbym miał oceniać, to był to jeden z naszych najgorszych meczów w ataku w tym sezonie. Było widać, że w grze o taką stawkę Górnik jest zdecydowanie bardziej doświadczonym zespołem. No ale udało się nam wygrać i to jest piękne. I mam nadzieję, że we wtorek w Zabrzu zakończymy sezon brązowym medalem.

„Meczycho" co się zowie

Rzeczywiście, to było przednie „meczycho" i znakomita promocja handballu. Niestety, u gości wróciły stare demony z początku sezonu zasadniczego, gdy w końcówkach przegrywali zdawałoby się wygrane już mecze. - Najpierw trzeba to sobie na spokojnie zobaczyć, przeanalizować i ochłonąć - trener Górnika Arkadiusz Miszka bardzo długo nie mógł dojść do siebie po horrorze bez happy endu na finiszu spotkania w Ostrowie Wielkopolskim. - Wszyscy czujemy duży niedosyt, bo uważam, że do 53-54 minuty byliśmy po prostu zespołem lepszym i... zgłupieliśmy. Mając cztery bramki na plusie, straciliśmy 3-4 piłki, nie trafiliśmy 2-3 „setek", co się zdarza. Ale mając pod kontrolą prawie cały mecz, gdy walczyliśmy i było naprawdę bardzo dobrze, wszystko było jak należy, a jeszcze Piotrek Wyszomirski super bronił, to musimy odczuwać ogromny niedosyt i złość. Teraz najważniejsze jest to, żeby się odbudować w głowach, bo mistrzostwa się jeszcze nie skończyły. Mam nadzieję, że przed nami jeszcze dwa mecze. Jeżeli z taką determinacją zagramy u siebie, ale nie zgłupiejemy, to spotkamy się tutaj za półtora tygodnia.

Zapraszamy do Zabrza

Na razie sytuacja wygląda tak, że to ostrowianie stanęli przed szansą zapisania się na stałe w historii klubu, bo dla nich walka o brąz to nie nagroda pocieszenia, a spełnienie wielkiego marzenia, od którego są już tylko o krok. Zapewniali, że zrobią wszystko, by zakończyć ten sezon z podniesionymi głowami i medalem. Puenta poniedziałkowych wydarzeń jest jednak taka, że identyczne ambicje mają zabrzańscy Górnicy. - Bardzo ciężki i fajny dla oka mecz. Dużo w nim było nerwów i zwrotów akcji. Dla kibiców idealny do oglądania - analizował prawy rozgrywający Górnika, Szymon Działakiewicz. - Jak odskoczyliśmy, to myśleliśmy, że wygramy, a tymczasem przegraliśmy w karnych. Ale czujemy, że możemy wygrać tę rywalizację, skoro w takiej hali, przy tak żywiołowych kibicach prowadziliśmy już pięcioma bramkami. Teraz czekamy na nich w Zabrzu, gdzie będzie jeszcze goręcej - zapewnił „Działo", zapraszając na mecz zaplanowany 3 czerwca o 20.30.

Zbigniew Cieńciała

Brodacz i spółka

Słynące z produkcji szkła miasto na Podkarpaciu znów będzie gościć najlepsze zespoły ekstraklasy.

I LIGA MĘŻCZYZN

Krosno, malownicze miasto na Podkarpaciu, znów ma ekstraklasę koszykówki! Finałowe pojedynki z Enea Abramczyk Astorią Bydgoszcz były ozdobą i uwieńczeniem ciekawego sezonu. Co ciekawe, krośnianinie nie byli finansowymi krezusami, budżet mieli mniejszy od kilku zespołów. Przed sezonem mówiło się, że to klub z Bydgoszczy jest zdecydowanym faworytem, choćby dlatego, że budżet ma trzy razy większy od krośnian.

Ci wracają do ekstraklasy po sześciu latach. Grali w elicie przez trzy sezony, awans wywalczyli w roku 2016, gdy w wielkim finale pokonali Legię Warszawa. Spadli w 2019 roku.

– Po spadku z ekstraklasy powiedziałem kibicom, że zrobimy wszystko, żeby do niej wrócić. Nie chcieliśmy podzielić losu innych klubów, które po degradacji kończą działalność, a potem o nich można poczytać tylko w archiwach. Jestem bardzo szczęśliwy, że wróciliśmy – mówi prezes Miasta Szkła, Janusz Walciszewski. – Teraz jest dużo emocji, radości, ale od poniedziałku zaczyna się ciężka praca. Nie jest łatwo takim małym ośrodkom jak Krosno grać długo w ekstraklasie. Myślę jednak, że nauczeni doświadczeniem teraz już trochę inaczej do tego podejdziemy. Nieco inaczej będziemy się przygotowywać do tego wyzwania.

Trenerem Miasta Szkła jest Edmunds Valeiko. Łotysz przyjechał do Polski w 1999 roku i zakotwiczył w bytomskich Bobrach. Przez rok był ich rozgrywającym, kibice zapamiętali jego boiskowy rozsądek i dobre podania. Po latach wrócił jako trener.



Fot. Facebook Miasto Szkła Krosno

Tre Jackson poprowadził ekipę z Krosna prosto do elity.

Propozycję pracy w Krośnie otrzymał w 2022 roku. Celem był awans. Władze klubu są bardzo cierpliwe. Przecież przed rokiem rozstawione z jedynką Miasto Szkła zostało sensacyjnie wyeliminowane przez GKS Tychy. Wtedy klub nie wykonał żadnych gwałtownych ruchów. Poinformowano, że Valeiko zostaje i ma dokończyć misję. „Celem na przyszły sezon ma być dobra gra w fazie zasadniczej (jak to miało miejsce teraz), a także walka w play offie do finałowej rundy" – napisano w komunikacie.

I faktycznie – w obecnych rozgrywkach Valeiko najpierw doprowadził do sukcesu w sezonie zasadniczym, a potem wygrał całą ligę! – Dzięki za zaufanie, bo dziś jesteśmy w tym miejscu, o którym wszyscy marzyliśmy – mówi teraz szkoleniowiec. – Jestem dumny z tego, co osiągnęliśmy. Zawodnicy wykonali ogromny kawał pracy, co zaprowadziło nas tam, gdzie jesteśmy teraz. Coś fajnego jest w tym zespole.

Liderem krośnian był Tre Jackson – brodacz trochę podobny do słynnego Jamesa Hardena, starego wygi z parkietów NBA. Amerykanin pojawił się na Podkarpaciu latem ubiegłego roku, przedstawiciele klubu wyszperali go wśród setek innych podczas campu w Las Vegas. – To inteligentny facet, rozumie basket, nie gra pod publiczkę. Odgrywa ważną rolę w zespole, jest czołowym strzelcem w rzutach za trzy w dywizji, potrafi podać, a do tego dobrze broni – wylicza zalety Jacksona Michał Baran, dyrektor sportowy Miasta Szkła Krosno.

Skromny syn pastora z Karoliny Południowej okazał się strzałem w dziesiątkę. Nie miał konkurencji na parkietach I ligi – zdobył tytuł MVP sezonu zasadniczego, był w najlepszej piątce całych rozgrywek, został wreszcie MVP finałów. – Równocześnie ufam pracy, którą włożyłem w ten sezon i ufam Bogu. Bóg obdarzył mnie umiejętnością gry w koszykówkę, więc robię, co mogę, aby pokazać swoje umiejętności – tłumaczył niedawno dziennikarzowi lokalnego portalu supernowosci.pl.

Rodzice cały czas śledzą jego dokonania zza Oceanu. „Tak jest!!! JESTEM Z CIEBIE DUMNY, SYNU! Lider punktacji drużyny, MVP ligi, MVP finałów... WSZYSTKO JAKO NOWICJUSZ! Zupełnie bezprecedensowe!" – napisał w mediach społecznościowych ojciec, pastor Brookland Baptist Church.

Wszystko wskazuje na to, że sympatyczny brodacz zostanie w Krośnie i zagra z Miastem Szkła w ekstraklasie. Władze klubu zaczynają budować kadrę na nowy sezon i Amerykanin jest dla nich ważnym elementem tej układanki. – Podoba mu się w Krośnie i liczę, że będzie chciał z nami kontynuować karierę piętro wyżej, żeby sprawdzić się na najwyższym poziomie. Będąc na campach, liczył na grę w drużynach ekstraklasowych w Europie. Trafił do nas z opcją, że chcemy awansować i razem z nim grać dalej. Mam nadzieję, że tak będzie – mówi prezes Walciszewski. (p)

Sensacja we Włocławku

Rozstawiony z jedynką Anwil przegrał z Legią na początek fazy półfinałowej.

ORLEN BASKET LIGA

Wielkie emocje we Włocławku w pierwszym meczu półfinałowym. Gospodarze prowadzili w trzeciej kwarcie nawet 11 punktami, a mimo to 12 sekund przed końcem – po trafieniu Kamerona McGusty'ego – to Legia miała 2 „oczka" przewagi (73:75). Sześć sekund później nie zadrżała jednak ręka Luke'owi Nelsonowi, który trafił za 3 punkty! Anwil wygrał? Wcale nie! Sekundę przed końcem rzut osobisty wykorzystał Andrzej Pluta, a po drugim niecelnym dobitkę zaliczył Michał Kolenda i sensacyjna wygrana Legii stała się faktem. W czwartek mecz numer 2. Gra toczy się do trzech wygranych.

■ **Anwil Włocławek – Legia Warszawa 76:78 (14:10, 19:20, 26:20, 17:28)**

WŁOCŁAWEK: Łączyński, Taylor 17 (2x3), Petrasek 8 (1x3), Ongenda 6, Michalak 10 - Funderburk 19 (2x3), Turner 8, Nelson 6 (1x3), Sulima, Williams, Gruszecki 2. Trener Selcuk ERNAK.

WARSZAWA: McGusty 17, Pluta 8 (1x3), Vucić 18, Silins 12 (2x3), Kolenda 10 (2x3) - Radanov 7 (1x3), Grudziński 2, Sykes, Wilczek, Onu 4. Trener Heiko RANNULA.

Stan rywalizacji: 0-1.

Najbliższe mecze: Sopot – Lublin (28.05), Włocławek – Warszawa (29.05), Sopot – Lublin (30.05). (p)

POLACY ZA GRANICĄ

■ W lidze hiszpańskiej wydarzeniem była kolejna wygrana Realu Madryt. Na trybunach Movistar Arena zasiadł Luka Doncić, który przed laty zdobywał tytuły z Królewskimi. Gwiazda Los Angeles Lakers zebrała ogromne brawa, a Real pokonał Coviran Granada. Dobrze grali też Polacy. Aleksander Balcerowski rozegrał swój najlepszy mecz w sezonie, a jego Unicaja wygrała w Llejdzie z Hiopos 98:69. Nasz środkowy w nieco ponad 18 minut zdobył 16 punktów, miał też 6 zbiórek i asystę. Trafił 4 z 7 rzutów z gry oraz 8 z 13 osobistych. Surne Bilbao przegrało w Baskonii (97:100), a Tomasz Gielo w 18 minut zdobył 6 punktów oraz dodał asystę. Nasz kadrowicz trafił 2 z 3 rzutów za 3 punkty. Porażki doznał też Casademont Saragossa (79:89 z Joventutem w Badalonie), a AJ Slaughter swą obecność na parkiecie zaznaczył śladowo. Były reprezentacyjny rozgrywający był na boisku tylko 6 minut, nie zdobył punktów, oddał jeden niecelny rzut z gry. Do końca sezonu zasadniczego została kolejka – Real prowadzi, Unicaja zajmuje 4. miejsce, Casademont jest 11., a Surne Bilbao dopiero 14. Z Polaków tylko Balcerowskiego zobaczymy w play offie.

■ W lidze francuskiej zaczyna się play off. Nie będzie w nim jednak polskich graczy. Na etapie play in odpadło Saint Quentin. Drużyna Dominika Olejniczaka wysoko przegrała z Dijon (79:92), a to oznacza wakacje dla ekipy naszego koszykarza. Olejniczak w tym ostatnim meczu w 25 minut zdobył 14 punktów, miał 5 zbiórek i asystę. Nasz środkowy trafił 6 z 8 rzutów z gry, wykorzystał obie próby z linii osobistych. Warto podkreślić, że Polak był najlepszym zbierającym Betclic Elite ze średnią 7,3 na mecz.

■ W Bundeslidze Rostock zakończył sezon na fazie play in. Seawolves przegrali z Oldenburgiem i udali się na wakacje. Krótko w przestrzeni zawisło pytanie o przyszłość trenera Przemysława Frasunkiewicza. Okazało się, że zaraz po zakończeniu sezonu kontrakt szkoleniowca został przedłużony na kolejny rok. Władze klubu są bardzo zadowolone ze współpracy. „Przemysław Frasunkiewicz pozostaje głównym trenerem Rostock Seawolves. Po zajęciu 10. miejsca w tabeli ligowej i dotarciu do fazy play in w sezonie 2024/25 easyCredit Basketball Bundesliga klub i 46-latek uzgodnili przedłużenie kontraktu. Nowy dokument roboczy będzie obowiązywał jeszcze przez jeden sezon do lata 2026 roku" – czytamy w klubowym komunikacie. (p)

THUNDER O KROK!

NBA

■ Po dwóch wysokich wygranych Thunder u siebie oraz po rekordowym zwycięstwie Timberwolves w meczu numer trzy w finale Zachodu doczekaliśmy się spotkania zaciętego i pełnego emocji do ostatnich sekund. Czwarty pojedynek serii rozpoczął się od kwarty wygranej przez gości 7 „oczkami" (37:30), ale potem aż do końca kibice w Target Center w Minneapolis oglądali grę „kosz za kosz". Siedem sekund przed końcem Thunder prowadzili ledwie punktem (126:125), zaraz potem dwa rzuty osobiste pewnie trafił Shai Gilgeous-Alexander, a gospodarze nie byli w stanie odrobić tej straty. Nie zawiodły gwiazdy drużyny z Oklahoma City. Znakomity mecz rozegrał przede wszystkim wspomniany Gilgeous-Alexander, który był bliski triple-double. Kanadyjczyk zdobył 40 punktów, miał 10 zbiórek i 9 asyst. To występ godny tytułu MVP, który otrzymał kilka dni wcześniej. – Starałem się nie martwić zbytnio o zdobywanie punktów, wykonywanie poszczególnych zagrań czy cokolwiek innego. Po prostu zatraciłem się w tej walce – mówił po spotkaniu. Jalen Williams dodał 34 punkty, trafiając 13 z 24 rzutów z gry, w tym 6 z 9 za 3 punkty. Młody środkowy Chet Holmgren miał 21 punktów, 7 zbiórek i 3 bloki. Ten ostatni grał w swoim rodzinnym mieście. – Oni byli niesamowici, pewni siebie. Zasługują na tę chwilę, jestem z nich bardzo dumny – chwalił kolegów Gilgeous-Alexander.

W obozie Timberwolves zawiódł tym razem lider Anthony Edwards. Zdobył tylko 16 punktów, trafił ledwie 5 z 13 rzutów z gry. Z dystansu było jeszcze gorzej – 1 z 7 za 3 punkty. Dodatkowo popełnił aż 5 strat. Komentatorzy zwracają uwagę, że Edwards w całej pierwszej połowie oddał tylko 2 rzuty z gry!

Mecz numer 5 odbędzie się w środę w Oklahoma City.

Finał Konferencji Zachodniej: Minnesota - Oklahoma City 126:128; stan rywalizacji: 1-3 (p)

Sport 911ce53030


Fot. Wojciech Szubartowski/Press Focus

Kewin Sasak w ostatnim roku zaliczył wielki skok.

Mogę dużo zyskać

Rozmowa z **Kewinem Sasakiem**, atakującym reprezentacji Polski, mistrzem kraju z Bogdanką LUK Lublin

Mistrzostwo Polski, powołanie do kadry... Gdyby panu ktoś powiedział, że w ciągu roku zaliczy pan tak duży awans, uwierzyłby pan?

– Raczej nie. Przede wszystkim nie byliśmy faworytami do złota. Do decydującej walki przystępowaliśmy z 4. pozycji i mało kto na nas stawiał. Oczywiście, cieszę się, że jestem mistrzem Polski, cieszę się z tego, jak nasza drużyna funkcjonowała, jak graliśmy w sezonie, i że zauważył mnie trener Nikola Grbić, dając szansę pokazania się w kadrze.

Sukcesy pana zmieniły?

– Mistrzostwo Polski to oczywiście duże osiągnięcie, ale w mojej głowie nic się nie zmieniło. Nadal jestem tym samym zawodnikiem, chłopakiem, który chce zdobywać kolejne trofea i piąć się w siatkarskiej hierarchii.

Zdarza się panu myśleć: jestem mistrzem Polski, a za trzy miesiące może będę mistrzem świata?

– Brzmi fajnie, ale nie myślę tak. Staram się żyć z dnia na dzień. Patrzeć na to, co jest tu i teraz, a nie sięgać daleko w przyszłość. A co będzie, dowiemy się za trzy miesiące. Nie myślę o rzeczach, na które nie mam wpływu. Po prostu cieszę się, że dostałem szansę, że jestem w kadrze i mogę trenować z najlepszymi. Chciałbym się jak najlepiej zaprezentować czy to podczas treningów, czy w meczach.

W takim turnieju, który zaczyna się w środę w Katowicach, gra się po to, by wygrać, czy raczej jest to walka o jak najlepszą pozycję w kadrze?

– Wyjdziemy na boisko po to, by wygrać każdy mecz, bo to wynika z naszej sportowej ambicji. Ale też będę się chciał pokazać. Może w głowie trenera zasieję ziarenko niepewności, żeby częściej o mnie myślał w przyszłości... Co będzie, to będzie. Podchodzę do tych zawodów z czystą kartą, że mogę dużo zyskać.

Tytuł mistrza Polski dodał panu więcej pewności siebie?

– Może nie sam tytuł, ale doświadczenie nabyte podczas najważniejszych meczów sezonu. Mam nadzieję, że po tym, co udało mi się osiągnąć, będę lepszym zawodnikiem od strony sportowej i mentalnej.

W klubie pańskim kolegą jest Wilfredo Leon. Jak się z nim gra?

– Bardzo dobrze. Jestem zadowolony, że mogę być z nim w drużynie. Wiemy, do czego jest zdolny, ale to też nie jest tak, że czekamy aż „odpali". Jego postawa nas motywuje, by dawać z siebie maksa i w trudnych momentach brać na siebie ciężar odpowiedzialności. To też miało wpływ na to, jak graliśmy pod koniec sezonu.

Leon był liderem ekipy?

– To nie tak. Mieliśmy w zespole kilku chłopaków bardziej doświadczonychjak Marcin Komenda, Janek Nowakowski, czy Mateusz Malinowski. Śmialiśmy się, że to taka trochę „stara gwardia". Oni od początku sezonu trzymali naszą ekipę w ryzach.

(mic)

Pierwszy sprawdzian

Biało-czerwoni rozpoczynają sezon reprezentacyjny. W Katowicach i Gliwicach ich formę sprawdzą Ukraińcy, Niemcy i Bułgarzy.

REPREZENTACJA MĘŻCZYZN

Polacy, co już jest tradycją, sezon zaczną na Górnym Śląsku. Do tej pory rozgrywali po dwa mecze towarzyskie, ale tym razem wezmą udział w turnieju. W Silesia Cup wystąpią też reprezentacje Ukrainy, Niemiec i Bułgarii. Dla wszystkich zawody te będą sprawdzianem przed rozgrywkami Ligi Narodów.

– Zawsze chętnie wracamy na Górny Śląsk i czujemy się tu jak w domu. Spodek sam w sobie jest częścią historii polskiej siatkówki i jej największych zwycięstw, a i ja sam mam do niego szczególny sentyment, pamiętając swoje nieraz bardzo dramatyczne mecze – powiedział Sebastian Świderski, prezes PZPS.

W Silesia Cup Biało-czerwoni wystąpią w mocno eksperymentalnym składzie. Być może szansę debiutu dostaną Kewin Sasak, Jordan Zaleszczyk czy Mikołaj Zaleszczyk. Z grona doświadczonych zawodników są z kolei m.in. Jan Firlej, Artur Szalpuk i Rafał Szymura.

W środę o 16.30, w ramach Silesia Cup, rozpocznie się uroczystość odsłonięcia kolejnych tablic w katowickiej Alei Gwiazd, upamiętniających „Złotka" Andrzeja Niemczyka, trenerów Raula Lozano i Nikolę Grbicia oraz Łukasza Żygadło iŁukasza Kaczmarka.

(mic)

PROGRAM TURNIEJU

Środa, 28 maja
KATOWICE, 16.00: Bułgaria - Niemcy
KATOWICE, 19.00: Polska - Ukraina
Piątek, 30 maja
GLIWICE, 16.00: Niemcy - Ukraina
GLIWICE, 19.00: Polska - Bułgaria
Sobota, 31 maja
GLIWICE, 16:00: Bułgaria - Ukraina
GLIWICE, 19:00: Polska -Niemcy

Dzień słabości Meksykanina

Co prawda kilku groźnych rywali na górskim etapie znacząco wyprzedziło Isaaca del Toro, ale ten zdołał zachować różową koszulkę lidera Giro d'Italia.

KOLARSTWO

Trzeci tydzień będzie bardzo ciekawy. Po dniu odpoczynku jest trochę niepewności, jak zareaguje organizm. We wtorek uzyskamy kilka odpowiedzi na to, na czym stoimy – stwierdził przed 16. etapem piąty w klasyfikacji Kanadyjczyk Derek Gee (Israel-Premier Tech), wypowiadając się niejako w imieniu wszystkich, którzy walczą o końcowe zwycięstwo. – Tak naprawdę Giro zaczyna się właśnie teraz – podkreślał jeden z faworytów imprezy, Juan Ayuso (UAE Team Emirates).

Dla tego młodego Hiszpana, jak i dla drugiego z tych, którzy byli typowani do triumfu, Słoweńca Primoża Roglicia (Red Bull-BORA-hansgrohe), wtorkowy odcinek okazał się tym, na którym stracili na to szanse. Ayuso, który narzekał na ból w kolanie zapewne obitym podczas kraks, został z tyłu już podczas przedostatniej wspinaczki i do mety dotarł blisko kwadrans po zwycięzcy. Natomiast Roglič, który już w niedzielę odczuwał skutki upadków i przyjechał za rywalami, we wtorek leżał po raz kolejny i wycofał się z wyścigu. 35-letni Słoweniec, zwycięzca pięciu Grand Tourów (cztery razy Vuelta a Espana i raz Giro), będzie miał teraz czas, żeby dobrze przygotować się do Tour de France.

Wtorkowy etap, który liczył 203 km i składał się z czterech niezwykle wymagających wspinaczek, w tym ostatniej do mety, nie ułożył się też po myśli lidera imprezy. Co prawda Isaac del Toro (UAE Team Emirates), także dzięki ogromnej pomocy kolegi z zespołu, Rafała Majki, bez większych problemów wjechał kolejno na Carbonare (1071 m n.p.m., premia górska 2. kategorii), Candriai (966 m, 1.) i Santa Barbarę (1171 m, 1.), ale na finałowym, najtrudniejszym wczoraj podjeździe, San Valentino (1316 m, 18,1 km o średnim nachyleniu 6,2 proc.) miał pierwsze w tym wyścigu chwile słabości. Meksykanin najpierw nie odpowiedział na atak Ekwadorczyka Richarda Carapaza (EF Education-EasyPost), a potem z tyłu zostawili go również wspomniany na początku Gee, wicelider Brytyjczyk Simon Yates (Visma), a nawet przeżywający wcześniej trudne chwile Kolumbijczyk Egan Bernal (INEOS Grenadiers) i doświadczony Włoch Damiana Caruso (Bahrain-Victorious). Przewaga uzyskana w dwóch pierwszych tygodniach ścigania jednak wystarczyła młodzianowi, żeby zachować różową koszulkę.

Wczoraj powody do radości mieli w końcu gospodarze. Po raz pierwszy w tegorocznej edycji zwyciężył bowiem Włoch, mało tego – pierwszy raz od 2016 roku reprezentanci Italii zajęli całe podium! Znowu, jak podczas dwóch poprzednich odcinków, warto było uciekać, bo do mety na San Valentino jako pierwsi wspięli się Christian Scaroni i Lorenzo Fortunato. Kolarze grupy XDS Astana zabrali się w odjazd dnia i okazali się z niego najmocniejsi – metę przekroczyli razem, trzymając się za ręce. Wygrał Scaroni, czyli ten, który jeszcze nie miał zwycięstwa w Giro, natomiast Fortunato w zasadzie przypieczętował wczoraj triumf w klasyfikacji górskiej. Niecałą minutę za nimi finiszował ich młodszy rodak Giulo Pellizzari, który po wycofaniu się Roglicia nie ma już komu pomagać w grupie Red Bull-BORA-hansgrohe i za cel postawił sobie etapowe zwycięstwo w największym włoskim wyścigu. Będzie miał do tego jeszcze trzy okazje, bo tyle górskich odcinków czeka kolarzy. Kolejny już dzisiaj ze wspinaczkami na słynne przełęcze Tonale i Mortirolo oraz metą w ośrodku narciarskim Bormio.

(gak)

Wyniki 16. etapu: Piazzola sul Brenta – San Valentino di Brentonico (203 km): 1. Cristian Scaroni (Włochy/XDS Astana) 5:35.05, 2. Lorenzo Fortunato (Włochy/XDS Astana) ten sam czas, 3. Giulio Pellizzari (Włochy/Red Bull-Bora-hansgrohe) strata 55 s, 4. Richard Carapaz (Ekwador/EF Education-EasyPost) 1.10, 5. Derek Gee (Kanada/Israel-Premier Tech) 1.23, 6. Jefferson Alveiro Cepeda (Ekwador/Movistar) 1.43 ... **21. Rafał Majka (UAE Team Emirates-XRG) 6.05.**

Klasyfikacja generalna: 1. Isaac del Toro (Meksyk/UAE Team Emirates-XRG) 61:31.56 2. Simon Yates (W. Brytania/Visma-Lease a Bike) 26, 3. Carapaz 31, 4. Gee 1.31, 5. Damiano Caruso (Włochy/Bahrain Victorious) 2.40 6. Egan Bernal (Kolumbia/Ineos Grenadiers) 3.23 ... **18. Majka 16.37.**

Przerwana seria

Huragany w końcu poczuły smak zwycięstwa w finale Konferencji Wschodniej.

NHL

Niektórzy próbowali tworzyć teorię spiskową i mówić o klątwie, jaka dopadła Carolina Hurricanes, gdyż na przestrzeni kilku sezonów przegrali 15 meczów w finałach konferencji. Florida Panthers, obrońcy Pucharu Stanleya, w tej serii pewnym krokiem zmierzali do wielkiego finału, wszak wygrali trzy potyczki z rzędu. A tymczasem na własnej tafli w Sunrise przegrali w dość niecodziennych okolicznościach z Huraganami 0:3 (0:0, 0:1, 0:2). Teraz w serii jest 3-1 i rywalizacja chwilowo (?) została przedłużona.

Frederik Andersen, bramkarz Caroliny, miał trudne chwile w dwóch pierwszych spotkaniach z Floridą. Na 36 strzałów przepuścił 9, nim został zastąpiony przez Piotra Koczetkowa. W trzeciej potyczce 36-letni Duńczyk pozostał w boksie, ale jego zmiennik również zjeżdżał z marsową miną (2:6). Andersen, obserwując z boku poczynania zespołu, mógł nabrać dystansu i przygotować się mentalnie do kolejnego występu. Tym razem miał powody do zadowolenia, obronił bowiem 20 strzałów i zachował drugie czyste konto w tym play offie oraz piąte w 84. spotkaniu. Po meczu Duńczyk nie krył zadowolenia, a Siergiej Bobrowski, jego vis-a-vis, wcale nie był gorszy, bo zaliczył 25 udanych interwencji. Pokonał go jedynie debiutant Logan Stankoven (31 minuta), który otrzymał podanie na niebieskiej linii od Aleksandra Nikiszina, odważnie wjechał w tercję i posłał krążek nad interweniującym „Bobem".

Tym razem gospodarze grali nie tylko bez wcześniej kontuzjowanego napastnika Sama Reinharta, ale również bez jego kompana z ataku A.J. Greera oraz obrońcy Niko Mikkoli. Absencje istotne, ale nie miały one aż takiego wpływu na wynik. Goście byli nastawieni wybitnie ofensywnie. Doskonale to ilustruje takie zestawienie: gospodarze zablokowali aż 52 strzały, zaś Bobrowski obronił 25. Paul Maurice, trener Panter, po meczu był pod wrażeniem gry rywali. W 47 minucie Mark Jankowski zdobył gola, ale został on zakwestionowany przez gospodarzy. Po analizie wideo nie został uznany, bo nieco wcześniej Eric Robinson wjechał do strefy rywali i był spalony. Goście odnieśli jednak okazałe zwycięstwo, Sebastian Aho (58) i Jordan Staal (59) posyłali bowiem krążek do pustej bramki.



Fot. SIPA/USA / Press Focus

Sebastian Aho, czołowy napastnik Caroliny, jest przekonany, że rywalizacja z Floridą potrwa znacznie dłużej.

Jakie prognozy przed piątym spotkaniem w Raleigh? Coś nam się wydaje, że rywalizacja nie zostanie zakończona...

PÓŁFINAŁY PUCHARU STANLEYA

Konferencja Wschodnia:
Florida -Carolina 0:3, stan rywalizacji 3-1.

(ws)

Nie tylko dla fanów

Krzysztof Wojtanowski to tropiciel wszystkiego, co ważne i związane z sosnowieckim hokejem.

Kiedy rozegrano pierwszy mecz hokejowy w Sosnowcu? Już śpieszymy z odpowiedzią: 6 stycznia 1933 roku Policyjny Klub Sportowy Sosnowiec zmierzył się ze Stadionem Mysłowice, a dopiero 10 miesięcy później zarząd sosnowickiego związku sportowego Unja powołał sekcję hokejową. Mało kto wie, że pierwsze sztuczne lodowisko otwarte w lutym 1966 roku nosiło nazwę Torsos, a kiedy je dwa lata później zadaszono, wówczas przez krótką chwilę nosiło nazwę Pałac Zimowy. Dość szybko zmieniono ją na Stadion Zimowy; ten obecny supernowoczesny w Arcelor Mittal Park (Zagłębiowski Park Sportowy) nosi taką samą nazwę. Sosnowiec był gospodarzem wielu mistrzostw świata juniorów, młodzieżowców i seniorów, a pierwszy mecz międzypaństwowy na tym obiekcie rozegrano 4 września 1969 roku. Biało-czerwoni wygrali wówczas z aktualnym wicemistrzem świata Szwajcarią 9:4 (3:1, 4:1, 2:2). Taki wynik z takim rywalem wydaje się dzisiaj szczytem marzeń.

Te ciekawe informacje, jak również wiele innych szczegółów m.in. związanych z mistrzostwami Polski i medalami Zagłębia Sosnowiec oraz sylwetkami najlepszych hokeistów, znalazły się w książce Krzysztofa Wojtanowskiego „W ślad za krążkiem", która została przygotowana z okazji 90-lecia sosnowieckiego hokeja. Silną stroną tej ciekawej publikacji są zdjęcia oraz reprodukcje wielu plakatów, anonsujących imprezy czy też mecze. Wojtanowski to nie tylko kronikarz, ale również tropiciel wszystkiego, co ważne i związane z sosnowieckim hokejem. Był inicjatorem wystawy „Historia hokeja w Sosnowcu" prezentowanej w Sosnowieckim Centrum Sztuki, a później kolejnej z okazji 90-lecia sekcji hokejowej w sosnowieckim muzeum w Pałacu Schoena. Jest pozytywnie „zakręcony" na punkcie tej dyscypliny, nie dziwi więc, że z trybun obserwuje najważniejsze imprezy z udziałem Biało-czerwonych.

Publikacja dotarła do nas z pewnym opóźnieniem, jednak polecamy ją nie tylko najwierniejszym fanom Zagłębia, ale też wszystkim miłośnikom tej dyscypliny. (ws)



Unikatowe zdjęcia oraz reprodukcje plakatów z imprez sportowych to silna strona tej publikacji.

SPOD BANDY

CENNY TRANSFER POLONII

■ Bohdan Diaczenko, 26-letni reprezentacyjny bramkarz Ukrainy (182 cm, 85 kg), w nowym sezonie będzie reprezentował bytomską Polonię. Wprawdzie trener Andrej Gusow miał nieco inne plany, ale propozycja zatrudnienia golkipera rodem z Charkowa była wielce kusząca. Diaczenko, podobnie jak jego koledzy, dobrze zaprezentował się podczas mistrzostw świata Dywizji 1A i zapewne będzie ważnym ogniwem Polonii.

Ponadto klubowi działacze zakomunikowali, że o rok przedłużyli umowę z 23-letni białoruskim napastnikiem Kiryłem Jastrabau, najlepszym strzelcem i zwycięzcą punktacji kanadyjskiej w Młodzieżowej Hokej Lidze (I liga). W 33 spotkaniach zgromadził on 71 punktów (37 goli+34 asyst).

TYLKO FORMALNOŚĆ

■ Mateusz Bryk, 35-letni reprezentacyjny obrońca, już podczas mistrzostw świata Dywizji 1A w Rumunii szepnął na ucho, że doszedł do porozumienia z działaczami i pozostaje w GKS-ie Tychy. – Oficjalny komunikat klubowy to tylko kwestia czasu – powiedział defensor o niekonwencjonalnym spojrzeniu na swoje i drużyny dokonania na lodzie, a tymczasem czekaliśmy prawie miesiąc, by klub poinformował o jego nowym kontrakcie. Wychowanek klubu z Jastrzębia jest ważnym ogniwem w drużynie Pekki Tirkkonena. Na tę chwilę kadra mistrzów Polski liczy 17 zawodników.

KOLEJNY FIN W JASTRZĘBIU

■ Działacze JKH GKS-u Jastrzębie pochwalili się transferem kolejnego Fina. Riku Sihvonen, 26-letni napastnik (191 cm, 85 kg), cztery lata temu udanie zaprezentował się w Sanoku i teraz podpisał roczny kontrakt z jastrzębskim klubem. Ostatnie cztery lata spędził w Czechach, grając na zapleczu ekstraligi. W minionym sezonie występował w Litomericach i Slavii Praga.

(s)

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 28 MAJA

TVP SPORT
14.25 Skoki do wody: ME w Antalyi, wieża 10 m synchronicznie kobiet, 16.10 Trampolina 3 m mężczyzn, 20.10 Fogo Futsal Ekstraklasa: Piast Gliwice - Constract Lubawa (na żywo), 22.15 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
9.00 Polsat Futbol Cast, 16.00 Siatkówka: Silesia Cup, Bułgaria - Niemcy, 18.00 Pn: Liga Konferencji, studio i Betis - Chelsea, 0.00 Skróty LK (na żywo)

POLSAT SPORT 2
19.00 Siatkówka: Silesia Cup, Polska - Ukraina, 23.55 Pn: Copa Sudamericana, CA Indepediente - CA Nacional Potosi (na żywo)

POLSAT SPORT 3
19.50 Koszykówka mężczyzn: Orlen Basket Liga, Trefl Sopot - PGE Start Lublin (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
18.00 Pn: Liga Konferencji, studio i Betis - Chelsea, 0.00 Skróty LK (na żywo)

EUROSPORT 1
10.30 Tenis: 2. runda French Open w Paryżu (na żywo)

EUROSPORT 2
12.30 Kolarstwo: 17. etap Giro d'Italia, San Michele all'Adige - Bormio, 17.45 Tenis: 2. runda French Open w Paryżu (na żywo)

CANAL+ SPORT
2.00 Koszykówka: play off NBA (na żywo)

31 SZCZYTOWAŃ

■ Nepalczyk Kami Rita Sherpa po raz 31. zdobył Mount Everest (8848 m). Jest rekordzistą pod względem liczby wejść na najwyższy szczyt Ziemi.
„Gratulacje dla legendarnego Kamiego Rity Sherpy za 31. wejście na Mount Everest" – napisała w komunikacie organizująca ekspedycję komercyjna firma Seven Summit Treks.
55-letni Nepalczyk prowadzi w Himalaje zagranicznych klientów. Niemal w każdym sezonie zdobywa Mount Everest, począwszy od 1994 roku, czasami dwukrotnie.
Władze Nepalu podały, że w tym sezonie wspinaczkowym, który kończy się za kilka dni, ponad 500 osób zdobyło Mount Everest od nepalskiej strony szczytu na południu. Dwie osoby zmarły – Filipińczyk i Hindus.
W tym roku mija 72. rocznica pierwszego zdobycia Mount Everestu. Po raz pierwszy weszli na szczyt 29 maja 1953 roku Nowozelandczyk Edmund Hillary i jego nepalski przewodnik Tenzing Norgay.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13
Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sport 911ce53030

Ktoś nam podmienił „Hubiego"

Klęska Huberta Hurkacza z nastolatkiem. Za to Magdalena Fręch pokonała trzykrotną finalistkę Wielkiego Szlema Ons Jabeur i teraz zmierzy się z mistrzynią Wimbledonu Marketą Vondrousovą.

Słodko-gorzki był wtorek na kortach Rolanda Garrosa dla polskich singlistów. Słodyczy nie żałowała nam Magdalena Fręch, która po raz trzeci w karierze awansowała do 2. rundy wielkoszlemowego French Open. Rozstawiona z numerem 25 w Paryżu 27-letnia łodzianka miała trudne losowanie, ale wygrała z utytułowaną Ons Jabeur 7:6 (7-4), 6:0, odnosząc pierwsze zwycięstwo z Tunezyjką, po dwóch porażkach w 2023 roku. Była wiceliderka rankingu jest trzykrotną finalistką imprez wielkoszlemowych, ale najlepsze lata ma już za sobą – obecnie na liście WTA zajmuje 36. pozycję – i mecz z tenisistką Górnika Bytom to unaocznił.

Wyszła z opresji

Potyczka miała dwa oblicza. Pierwsza partia była zaciętą bitwą, która trwała dłużej niż niejedno spotkanie, bo aż 79 minut. Jabeur prowadziła już 5:3, miała nawet piłkę setową. Świetnie biegająca i walcząca o każdą piłkę Fręch wspaniale wyszła jednak z opresji i potrzebny był tie-break. W nim wyrównana walka trwała do stanu 4-4. Trzy kolejne punkty padły łupem Polki, która znalazła się w połowie drogi do awansu.

Drugi set pozbawiony był już emocji, bo Jabeur szybko spasowała. Już w gemie otwarcia Fręch przełamała Tunezyjkę bez straty punktu. Polka nie odpuściła nawet na moment. W drugiej partii grała niemal bezbłędnie – popełniła tylko trzy niewymuszone błędy, a Tunezyjka aż 16.

– Obrona piłki setowej to był klucz do tego, aby uwierzyć, że mogę jeszcze wrócić w pierwszym secie. To był najistotniejszy moment, i oczywiście tie-break. Wiedziałam, że mentalnie jestem górą. W drugim secie nie pozwoliłam jej wrócić, nie pozwoliłam jej złapać oddechu, tylko cały czas na nią napierałam i to skutkowało kolejnymi gemami – zrelacjonowała mecz Polka.



Fot. PAP / EPA

Magdalena Fręch odniosła jedno z najbardziej znaczących zwycięstw w karierze. Czas na kolejny krok!

Z Marketą o więcej

27-letnia łodzianka trzeci raz w karierze znalazła się w 2. rundzie French Open, poprzednio w 2018 i 2023 roku. Nigdy nie udało jej się awansować dalej. O przełamanie powalczy w czwartek z Marketą Vondrousovą. 25-letnia Czeszka to mistrzyni Wimbledonu 2023 – w finale, co ciekawe, pokonała Jabeur – ale obecnie w światowym rankingu zajmuje dopiero 96. miejsce. Zmagająca się z kontuzjami zawodniczka przez ostatnie 12 miesięcy wygrała zaledwie sześć meczów. Fręch ma z nią bilans 0-3, a więc znów ma okazję się poprawić.

– To zawodniczka z samego topu. Na pewno bardzo nieprzewidywalna lewa ręka. Będę musiała być przygotowana na zupełnie co innego niż dzisiaj – zapowiedziała Fręch.

Podopieczna trenera Andrzeja Kobierskiego zawsze otwarcie mówiła o swoich celach. Dwa lata temu celowała w top 50 rankingu, potem w rozstawienia na Wielkich Szlemach. Wszystko to się udało. – Teraz kolej na coraz lepsze wyniki w Wielkich Szlemach. To jest mój główny cel na ten rok. Zrobiłam trzecią rundę Australian Open, więc mam nadzieję, że w kolejnych imprezach też będzie dobrze – stwierdziła łodzianka.

21.
RAZ Z RZĘDU
Novak Djoković awansował do 2. rundy French Open; 38-letni Serb pewnie pokonał Amerykanina Mackenzie McDonalda (98. ATP). „Nole" jest współrekordzistą triumfów w turniejach wielkoszlemowych (24), a w sobotę w Genewie zanotował 100. triumf w cyklu ATP, pokonując w finale Huberta Hurkacza.

Przeżywał Genewę?

Ale dzień w Paryżu skończył się dla Polaków gorzko, bo zaledwie trzy dni po epickim finale w Genewie z Novakiem Djokoviciem klęski doznał Hubert Hurkacz. Rozstawiony z nr 30 wrocławianin miał co prawda również trudne losowanie, bo trafił na objawienie ostatnich miesięcy, 18-letniego Brazylijczyka Joao Fonsecę (65. ATP), ale w poprzednim tygodniu pokazał, że wraca do formy. Kto wie jednak, czy bolesna porażka z „Djoko", po której schodził z kortu przybity ze łzami w oczach, nie miała decydującego wpływu na mizerną dyspozycję „Hubiego" w Paryżu.

Polak zupełnie nie przypominał bowiem samego siebie sprzed 72 godzin; wyglądało, jakby go ktoś podmienił – od początku był „nie w sosie", nie biegał, nie atakował, dając się stłamsić agresywnemu nastolatkowi, dopingowanemu po każdej udanej akcji przez żywiołowo reagujący tłum brazylijskich fanów. Hurkacz podejmował złe decyzje, nie trafiał z 1. serwisu (zaledwie sześć asów w trzech setach), z drugiego podania wygrał tylko 32 procent punktów, wypracował zaledwie dwa break pointy, ale i tak ich nie wykorzystał. Aż przykro było patrzeć na to lanie, a po godzinie i trzech kwadransach było po wszystkim – 2:6, 4:6, 2:6.

To spore rozczarowanie. Mecz otwarcia w stolicy Francji „Hubi" poprzednio przegrał cztery lata temu; w ubiegłym roku dotarł do 4. rundy, najdalej w karierze. Kolejna szansa na poprawienie tego wyniku dopiero za rok.

Gdzie są moje rakiety?

Bez kłopotów do 2. rundy awansowała Coco Gauff, pokonując w godzinę i 11 minut Australijką Olivię Gadecki (91. WTA). Więcej nerwów wiceliderka światowego rankingu najadła się tuż przed meczem, gdy zorientowała się, że do torby nie zabrała rakiet. W drugiej rundzie finalistka z 2022 roku zmierzy się ze zwyciężczynią juniorskiego Rolanda Garrosa sprzed roku Czeszką Terezą Valentovą.

Tomasz Mucha

WYNIKI

1. runda kobiet: Fręch – Jabeur (Tunezja) 7:6 (7-4), 6:0, M. Andriejewa (Rosja) – Bucsa (Hiszpania) 6:4, 6:3, Baptiste (USA) Maia (Brazylia) 4:6, 6:3, 6:1, Hibino (Japonia) – Uchijama (Japonia) 6:1, 7:5, Vondrousova (Czechy) – Selechmietiewa (Rosja) 6:4, 6:4, Azarenka (Białoruś) – Wickmayer (Belgia), Kenin (USA) – Graczowa (Francja) 6:3, 6:1, Kalinina (Ukraina) – Awansejan (Mołdawia) 6:1, 6:2, Gauff (USA) – Gadecki (Australia) 6:2, 6:2, Valentova (Czechy) – Paquet (Francja), 4:6, 6:3 7:5, Krueger (USA) – Lamens (Holandia) 6:3, 6:4, Jacquemot (Francja) – Sakkari (Grecja) 6:3, 7:6 (7-4), Pegula - Todosi (Rumunia), Kartal (Wlk. Brytania) – E. Andriejewa (Rosja) 6:0, 6:2, Boisson (Francja) – Mertens (Belgia) 6:4, 4:6, 6:3, Li (USA) – Carle (Argentyna) 6:4, 6:0, Putincewa (Kazachstan) – Sierra (Argentyna) 7:6 (7-4), 6:2, Garland (Chile) – Volnets (USA) 6:3, 3:6, 6:4, Bouzkova (Czechy) – Kalinskaja (Rosja) 6:4, 7:5.

1. runda mężczyzn: Fonseca (Brazylia) - Hurkacz (30) 6:2, 6:4, 6:2, De Minaur (Australia) – Djere (Serbia) 6:3, 6:4, 7:6 (8-6), Gomez (Argentyna) – Kovacevic (USA) 4:6, 6:4, 6:4, 6:1, Norrie (Wlk. Brytania) – Miedwiediew (Rosja) 7:5, 6:3, 4:6, 1:6, 7:5, Szewczenko (Kazachstan) – Lajović (Serbia) 6:2, 6:4, 7:6 (7-4), Quin (USA) – Dymitrow (Bułgaria) 2:6, 3:6, 6:2 i krecz Dymitrowa, Bublik (Kazachstan) – Duckworth (Nowa Zelandia) 6:2, 6:4, 6:4, Zverev (Niemcy) – Tien (USA) 6:3, 6:3, 6:4, De Jong (Holandia) – Passaro (Włochy) 3:6, 6:7 (7-9), 6:4, 7:6 (7-1), 6:1, Mensik (Czechy) – Mueller (Francja) 7:5, 6:7 (5-7), 7:5, 6:4, Walton (Nowa Zelandia) – Martrer (Niemcy) 7:6 (7-3), 4:6, 6:3, 2:6, 6:2, Herbert (Francja) – Bonzi (Francja) 7:5, 3:6, 4:6, 7:5, 6:2, Djoković (Serbia) – McDonald (USA) 6:3, 6:3, 6:3.

1. runda debla kobiet: Danilina, Krunic (Kazachstan, Serbia) – Linette, Pera (Polska, USA) 6:7 (3-7), 6:1, 6:4.

Dwa dni, dwie porażki

Magda Linette opuszcza Paryż – po 1. rundzie w singlu, przegrała też w deblu.

Magda Linette i Bernarda Pera odpadły w 1. rundzie gry podwójnej French Open. We wtorek w Paryżu Polka i Amerykanka przegrały z Kazaszką Anną Daniliną i Serbką Aleksandrą Krunić 7:6 (7-3), 1:6, 4:6. W poniedziałek 33-letnia poznanianka uległa także w 1. rundzie singla rozstawionej z „22" Dunce Clarze Tauson 4:6, 6:4, 1:6. Linette przegrała pierwsze spotkanie już w szóstym z rzędu turnieju wielkoszlemowym.

– Przykro mi, bo grałam dobrze w ostatnim czasie. Taki trochę słabszy mecz bardzo boli, bo czuję, że awans był do zrobienia. Żałuję, że chwilami nie stanęłam na wysokości zadania. Mam nadzieję, że na trawie będę wykorzystywać swoje atuty, tak jak robiłam to na kortach twardych – podkreśliła Linette, która w marcu w Miami dotarła do ćwierćfinału, eliminując m.in. obecną wiceliderkę rankingu Coco Gauff.

W Paryżu w grze podwójnej wystąpi jeszcze czworo Polaków. Karol Drzewiecki z Piotrem Matuszewskim, a także Katarzyna Piter u boku Rumunki Moniki Niculescu oraz Jan Zieliński z Belgiem Sanderem Gille'em. **(t)**

Iga Świątek: nastolatkom łatwiej wygrać

Polka pierwszego Szlema wywalczyła w wieku 19 lat, Emma Raducanu była nawet o rok młodsza, ale na razie nie spełniła oczekiwań.

Wśrodę popołudniu w 2. rundzie czterokrotna triumfatorka French Open (2020, 2022-24) Iga Świątek zagra z Brytyjką Emmą Raducanu – będzie to trzeci mecz od godziny 12 na głównej arenie, korcie Philippe'a Chatriera. Obie wielkoszlemowy sukces odniosły jeszcze jako nastolatki i zdaniem polskiej tenisistki nie ma w tym przypadku.

Świątek, która w sobotę skończy 24 lata, jest starsza od Raducanu o niespełna półtora roku. Polka tenisowy świat zadziwiła w 2020 roku, gdy, mając 19 lat, wygrała French Open, jako 54. na liście WTA. Rok później Raducanu dokonała rzeczy jeszcze bardziej spektakularnej – jako 18-latka wygrała US Open z rankingiem 150., zostając pierwszą kwalifikantką, która zdobyła Wielkiego Szlema.

– Wydaje mi się, że jak ktoś dobrze gra w tenisa już od wczesnych lat, to łatwiej jest wygrać z taką świeżością, dużo dziewczyn to pokazało w ostatnich latach. Jesteś outsiderem, nie jesteś obserwowany. Oczekiwania są niższe. Nastolatkom łatwiej wygrać Szlema, niż starszym zawodnikom, których grę już wszyscy znają – powiedziała Świątek.

Coco Gauff miała 19 lat, gdy wygrała US Open 2023, podobnie Bianca Andreescu, wygrywając nowojorską imprezę w 2019 roku. Kanadyjka potem głównie się leczyła, dziś jest 99. w rankingu. – Utrzymanie tego poziomu w kolejnych latach jest wymagające, dlatego dla mnie tak ważne było udowodnienie sobie, że mogę to zrobić ponownie. Jak ktoś mnie spyta, który tytuł był dla mnie najważniejszy, to odpowiem, że ten w 2022 – dodała Polka.

Raducanu po zwycięstwie w Nowym Jorku tylko raz w turniejach wielkoszlemowych zagrała w 1/8 finału i w powszechnej opinii nie sprostała oczekiwaniom. Obecnie w czołowej „50" rankingu jest tylko jedna nastolatka – 18-letnia Mirra Andriejewa. Rosjanka plasuje się na 6. pozycji, w tym roku jeszcze jako 17-latka wygrała prestiżowe „tysięczniki" w Dubaju i w Indian Wells.

(t, PAP)



Jerzy Chromik

REMANENT

Osculati, Sá Pinto i Feio

Pamiętam refren szlagieru z dzieciństwa, choć z mojego jedynego obozu harcerskiego uciekłem po tygodniu.
– Na koloniach fajnie jest, można sobie pobiegać, można w karty pograć też lub pochodzić po drzewach (...)
Fajnie, fajnie, fajnie. Lubimy to słowo, choć to germanizm. Od „fein". A czy Feio to „fein" po portugalsku? Na pewno nie.
W przedszkolu przezywano mnie chomikiem, bo to było najłatwiejsze, a poza tym mało który czterolatek wymawia prawidłowo „r". Ostatnio Janusz Wołcz z Akademii TVP wymyślił coś nowego na powitanie:
– Chromik, Chromik, a to pewnie taka mała przeglądarka! Po prostu syn Chrome'a.
Ta łatwość w żartowaniu z nazwiska mogła mnie w dzieciństwie dołować, ale musiałem się z tym pogodzić. Wiem, wiem, savoir-vivre jest innego zdania. Ale co zrobię, że odtąd łatwo przychodzi mi szukanie skojarzeń z nazwiskami. 25 lat temu prezes PZPN-u wystosował nawet list protestacyjny do naczelnego „Przeglądu Sportowego" po tym, jak w felietonie napisałem o Zdzisławie Kręcinie, że to taki działacz o trochę mylącym nazwisku.
W przypadku Feio nic nie trzeba przekręcać. Brzmi od razu mało poważnie. Może dlatego tak łatwo zjednał sobie szatnię, bo to jest taki brat łata. Gdyby to zależało wyłącznie od piłkarzy, byłby z nimi także w sezonie 2025/26.
Nie rozmawiałem z nim, choć zainteresował mnie od początku pojawienia się w naszym obiegu publicznym. Na początku polskiej ścieżki była akademia Legii, potem Raków i Motor oraz powrót na Ł3. Wszędzie ciekawie i nigdzie nie było grzecznie.
A sukcesy? Najpierw udział w awansie Motoru Lublin do ekstraklasy. W stolicy bez mistrzostwa i tylko piąte miejsce w tabeli końcowej. Broni go jednak Puchar Polski i Liga Konferencji. A pokonanie Chelsea w rewanżu na wyjeździe otwiera być może furtkę do pracy na Wyspach. Jego menedżerem nie jest byle kto, więc chyba jest to realne. Jeśli nie Premier League, to może Championship? Iloraz i warsztat są OK. Na pewno uczy się szybko, bo – jak dowodził Andrzej Janisz w „Wysokim pressingu" – Portugalczyk tak dobrze posługuje się polskim słownictwem, że zostawia z tyłu wielu naszych rodaków.
Pojawienie się pierwszego Portugalczyka w Warszawie przewidział Jeremi Przybora i oddał jego perypetie w cudownej piosence z muzyką Jerzego Wasowskiego. Tamten nazywał się Osculati. Po dziesięcioleciach przyjechał do stolicy Sá Pinto. Ten chyba nie oszukiwał Polek, choć trudno to wykluczyć, bo był jak każdy południowiec przystojny.
Żądał jednak, by prezes Legii uciszył dzwony w sąsiednim kościele, tuż obok bocznego boiska, na którym wtedy trenował zespół, zanim oddano do użytku nowoczesny kompleks pod Grodziskiem. Feio to więc hat trick Warszawy.
A jak to leciało w Kabarecie Starszych Panów o pionierze spod ciemnej gwiazdy?
– W tym ogrodzie za Książęcą zmącił duszę mą dziewczęcą.
Potem ciało zawiódł śmiało na Frascati.
Tam, gdy z radia płynął walczyk, wykorzystał Portugalczyk, mnie ze szczętem!
– Kto?
– Vincento Osculati!
A kiedy wschód zaczął ciut złocić kwiaty,
Powiedział mnie twardo, że: „Ne zaplati"!
Refren:
Portugalczyku, jak nóż bezlitosny,
Naciąłeś dziewcząt jak róż w kraju sosny,
Że tylko szept z tobą szedł słów jak liści... Nie uiści. Nie uiści!
Polsko, nie mówmy już o Feio!
Mamy ważniejszy temat...



Fot. Tomasz Jastrzębowski / PressFocus

Feio. Bywało fajnie, bywało... fejowo.

Były żal, płacz i rzucanie kolcami

Rozmowa z **Justyną Święty-Ersetic**, czołową specjalistką w biegu na 400 metrów, mistrzynią Europy, złotą i srebrną medalistką olimpijską w sztafetach 4x400 i mix

Podczas Memoriału Kusocińskiego było bardzo zimno, a w swoim pierwszym starcie indywidualnym zajęła pani 2. miejsce w czasie 51,29 sekundy. Apetyty zapewne były większe?

– Na pewno. Myślę, że biegi w Kantonie na początku maja podczas World Relays pokazały, że jestem w dobrej dyspozycji, więc jest ogromna ulga, że nic nie boli, nie strzyka, nadmiernie oczywiście. Na pewno apetyt był na szybsze bieganie, jednak wiedziałam, że może być o to trudno. Już na treningach po powrocie z Chin było mi ciężko, bo ciągle jest zimno, pada, wieje, więc to nie są warunki, które sprzyjają szybkiemu bieganiu.

51,29 to tylko o 0,4 sekundy wolniej od najlepszego wyniku w ubiegłym roku, z półfinału igrzysk w Paryżu, więc chyba rezultat jest obiecujący?

– Myślę, że tak, że to jest bardzo obiecujący start, chociaż nie ukrywam, liczyłam na szybszy bieg, bo wiem, co robiłam na treningach, ale te warunki nie pomagają. Należy cieszyć się z tego, co jest. Sezon jest długi i wierzę, że jeszcze nieraz będę miała możliwość zaprezentowania się z lepszej strony. I czekam z nadzieją na kolejne starty, najbliższy już w piątek w Memoriale Ireny Szewińskiej w Bydgoszczy.

Wystarczy więc, żeby było nieco cieplej i rezultaty będą lepsze?

– Myślę, że należy uzbroić się w cierpliwość, wyczekiwać lepszych warunków i na pewno też wtedy nogi od razu poniosą w szybszym tempie do mety.

Czy biegi w Chinach podczas World Relays panią uskrzydliły, no bo jednak czas poniżej 50 sekund na zmianie to zawsze coś?

– Kurczę, ja na to czekałam 20 lat! Nigdy wcześniej nie udało mi się tego dokonać, więc na pewno dało mi to dużego kopa, że ja, jako ta starsza pani w tej kadrze, w dalszym ciągu potrafię szybko biegać, zmobilizować się, potrafię się tym wszystkim cieszyć na nowo. Myślę, że to jest fajne i wierzę, że ten sezon, jeśli – tfu! tfu! – wszystko pójdzie dobrze i będzie zdrowie, będzie jednym z lepszych w mojej karierze.

Pani rekord życiowy z 2018 roku wynosi 50,41, gdy zdobywała złoto mistrzostw Europy w Berlinie. Wspominała pani wcześniej, że liczy w tym sezonie na złamanie 50 sekund. Czy treningi pokazują, że to realne?

– Myślę, że treningi to pokazują, ale – tak jak mówię – na takie bieganie musi się wszystko idealnie złożyć. Myślę, że wynik na Kusym pokazał, że jestem w dobrej dyspozycji, że pomimo tej niesprzyjającej pogody potrafię się zmobilizować, potrafię pobiec, powiedzmy, przyzwoicie. Ale wiem też, że stać mnie na dużo lepszy wynik, bo trzeba tutaj powiedzieć szczerze, że zawody w Chinach to nie była docelowa impreza. Tak naprawdę po sezonie w hali byłam jeszcze w ciężkim treningu, bardziej objętościowym, więc na pewno to był dobry sprawdzian, ale wiem, że na pewno w tym sezonie będzie stać mnie na dużo szybsze bieganie.

Mówi pani, że cieszy ją bieganie, że znowu jest ta radość. To znaczy, że te wszystkie złe demony zostały odpędzone?

– Mam nadzieję, że tak i mam nadzieję, że w tym momencie nie zapeszę. Jestem zdrowa, więc radość z biegania wróciła, bo nie muszę się martwić na treningach, szukać zajęć zastępczych z trenerem, plan możemy realizować w stu procentach. No i jak widać wyniki też są coraz lepsze, a nie jest to bujanie się, tak jak w zeszłym sezonie. Wtedy na Kusocińskim były ledwie 54 sekundy (dokładnie 53,68 – przyp. red.), pojawiły się ogromny żal, płacz, rozgoryczenie, rzucanie kolcami, po co ja to robię, że to jest zmarnowany czas...

Lekkoatletka z Raciborza wie, że w tym sezonie będzie stać ją na dużo szybsze bieganie niż pokazała w Chorzowie.



Fot. Mateusz Sobczak / Press Focus

Ale końcówka w zeszłym roku była już lepsza?

– Tak, już igrzyska w Paryżu pokazały, że jestem na dobrych torach, że wracam na właściwą ścieżkę. I dużo łatwiej było mi wejść w sezon halowy, który był też równie udany w moim wykonaniu (Święty-Ersetic była m.in. piąta indywidualnie w HME w Apeldoorn oraz w HMŚ w Nankinie i zdobyła srebro w sztafecie 4x400 w Chinach – przyp. red.).

Niektóre pani koleżanki ze sztafety już zakończyły karierę, pani też mówiła, że nie wie, ile jeszcze wytrzyma...

– Przypominam, nie deklarowałam, że kończę, tylko powiedziałam, że na pewno już jest bliżej końca niż dalej. Powtarzam też, że jestem teraz w fajnym momencie swojej kariery i nie mam chwilowo myśli, że trenuję „do wtedy i wtedy, to mój ostatni start, ostatni sezon". Ja się na nowo cieszę tym, co mam, a ta decyzja o końcu myślę, że sama przyjdzie. Mam nadzieję, że nie będę biegała jeszcze nie wiadomo ile lat, ale dopóki nogi się kręcą, dopóki jestem zdrowa, zamierzam to wykorzystać, bo już nigdy do tego nie wrócę, a na pewno nie na takim poziomie.

Za trzy lata będzie pani miała 36 lat. Myśli pani o starcie w igrzyskach w Los Angeles?

– O Jezu, nie wybiegam tak daleko w przyszłość! Przyznam szczerze, że żyję z dnia na dzień, cieszę się tym, co mam. Moim celem jest ten sezon, a co będzie później, zobaczymy. Będę się tym martwiła – w cudzysłowie – potem.

Notował i rozmawiał Tomasz Mucha

Sport 911ce53030

DJ w natarciu

Ben Griffin miesiąc temu sięgał po swoje pierwsze trofeum na PGA Tour. Teraz ma już dwa. I pomyśleć, że jeszcze niedawno rzucał golfa.

Po raz pierwszy w najlepszej golfowej lidze świata wygrywał pod koniec kwietnia, w nietypowym, rozgrywanym parami turnieju Zurich Classic of New Orleans. Wystrzałowy duet uzupełniał wtedy jego przyjaciel Andrew Novak, tak jak on nieszczególnie wcześniej utytułowany. Przed Zurich Classic w zawodowym golfie obaj wygrywali poprzednio tylko raz, Ben na PGA Tour Canada, a Andrew na Korn Ferry Tour. W tym roku dobrzy koledzy przeżywają prawdziwy renesans. Novak z golfowego kopciuszka został jedną z bardziej rozpoznawalnych twarzy światowego golfa, a Griffin jest jednym z zaledwie czterech ludzi, którzy mogą pochwalić się więcej niż jednym zwycięstwem na PGA Tour w tym roku. To zacne grono uzupełniają: Sepp Straka, Scottie Scheffler i Rory McIlroy, który jako jedyny w tym zestawieniu zwyciężał trzykrotnie.

Powrót zza światów

Zurich Classic był dramatycznym zwrotem dla każdego z nich. Obaj pochodzą z Karoliny Północnej, znając się już od czasów juniorskich. Później ich ścieżki się rozeszły, jednak w ostatnich latach odnowili kontakt, rezydując na Sea Island i współpracując z tym samym trenerem w siłowni. – Myślę, że to po prostu zatoczyło pełne koło – powiedział po wspólnym triumfie Ben. – Czuję, że podążaliśmy podobnymi ścieżkami do punktu, w którym jesteśmy dzisiaj. Zarówno Andrew, jak i ja, czuliśmy, że to tylko kwestia czasu. Obaj włożyliśmy w to sporo wysiłku, szczególnie w tym sezonie, ale także w poprzednim. Po prostu było dużo naszej ciężkiej pracy. Dla mnie to znaczy bardzo wiele, że to w końcu popłaciło i nareszcie udało się to zrobić. Nie mogłem sobie wyobrazić lepszego faceta, z którym mógłbym tutaj tego dokonać.

Benjamin Griffin ma za sobą wzloty i upadki. Był świetnym amatorem, wygrywając w trzech turniejach i dwukrotnie zdobywając prestiżowe wyróżnienie All-America. Po zakończeniu studiów na University of North Carolina w Chapel Hill, w 2018 roku przeszedł na zawodowstwo, próbując sił na PGA Tour Canada; wygrał tam od razu w swoim pierwszym sezonie. Rok później dostał się na Korn Ferry Tour, jednak szło mu jak po grudzie. W 2020 roku męczył się na PGA Tour Latinoamerica i LocaliQ Series – lidze stworzonej w odpowiedzi na pandemię Covid-19. Przygnieciony brakiem sukcesów, w kolejnym roku zdecydował się rzucić golfa i zająć pracą jako specjalista od kredytów hipotecznych, hobbystycznie kontynuując też oddawanie się pasji DJ'a. Nowe życie na tyle go pochłonęło, że niemal zapomniał o tym, że wcześniej zapisał się na kwalifikacje do US Open. Kiedy już sobie o tym przypomniał, nie chcąc marnować okazji i zainwestowanych pieniędzy, wziął wolne od roboty i z marszu zagrał w turnieju kwalifikacyjnym. Jak to często w takich sytuacjach bywa, awansował do etapu finałowego. Tam z kolei radził sobie wyśmienicie, jednym uderzeniem ocierając się o debiut w US Open. Tamte wydarzenia zmieniły jego spojrzenie na życie i po miesiącach rozłąki postanowił wrócić do golfa. Dzięki solidnym występom na 2022 Korn Ferry Tour wywalczył kartę na PGA Tour.

Determinacja

Aby w ogóle jego kariera mogła się wydarzyć, rodzice musieli wiele poświęcić. Kiedy był chłopcem, recesja w 2008 roku spowodowała, że jego rodzina straciła dom. Rodzice, którzy pracowali w branży nieruchomości, przeprowadzili się do mniejszego lokum. Wprowadzili też inne oszczędności, ale zadbali o to, aby ich syn, obiecujący młody golfista, mógł nadal trenować na publicznym polu w Chapel Hill. W tych trudnych czasach uderzanie piłek było jego pasją. Uwielbiał też godzinami ćwiczyć krótką grę i trenować na greenie, wyobrażając sobie, że wygrywa duży turniej. W niedzielę w Colonial Country Club, na legendarnym polu, na którym kiedyś tak lubił grać sam Ben Hogan, w swoich ciemnych okularach w stylu Top Gun wyglądał na pewnego siebie. W trudnych warunkach zanotował rundę +1, a wietrzne popołudnie wystawiło na ciężką próbę każdy element jego gry. Opłaciły się te wszystkie godziny spędzone na niekończących się treningach. - To właśnie sprawiło, że dziś tutaj jestem – powiedział Griffin na konferencji prasowej, ubrany w tartanową marynarkę, którą otrzymuje zwycięzca Charles Schwab Challenge. – Jestem bardzo pewny siebie w swojej krótkiej grze. Przypisuję to czasom juniorskiego golfa. Moi rodzice zrobili dla mnie tak wiele, gdy dorastałem. Wiem, że wiele dla mnie poświęcili i wiele z mojego sukcesu na finiszu przypisuję właśnie krótkiej grze. To mnie dzisiaj utrzymało na powierzchni i to właśnie robiłem jako dziecko. Pomogło mi to dzisiaj być tak dobrym na finiszu.

Rozpoczynając ostatni dołek, miał dwa uderzenia przewagi nad Mattim Szmidem i sytuacja wyglądała dość klarownie. Niemiec postawił wszystko na jedną kartę, ale zagrał za daleko i w lewo. Piłka niemal wpadła do wody, jakimś cudem utrzymując się na skarpie. Griffin grał bezpiecznie przed green, jednak jego piłka zatrzymała się niemal na ścianie bunkra. Czekało go ekwilibrystyczne zagranie – stał w piasku, z piłką na wysokości kolan. Złapał kij w połowie trzonka i zagrał fantastycznie, półtora metra za flagę. Kiedy już wydawało się, że jest po wszystkim, Matti wyczarował nieprawdopodobnego loba prosto do dołka, zaliczył birdie i nagle to Griffin musiał trafić na zwycięstwo! Nie pomylił się jednak, zdobywając swój pierwszy indywidualny tytuł w lidze. W tym roku był już pięć razy w najlepszej dziesiątce turniejów PGA Tour. W zeszłym tygodniu zajął 8. miejsce w PGA Championship – to był jego pierwszy raz, kiedy zagrał w weekend turnieju wielkoszlemowego. – To szaleństwo, jak szybko wszystko może się zmienić w tej grze – stwierdził.


Fot. Facebook PGA TOUR

Ben Griffin w klasycznej tartanowej marynarce.

Na podium załapał się jeszcze Amerykanin Bud Cauley, dzięki rundzie 67 awansując ostatniego dnia o siedem pozycji. Czwartym miejscem podzielili się wielcy rywale z Ryder Cup – numer 1 Scottie Scheffler i Tommy Fleetwood – nieznośnie regularnie plasujący się w najlepszej dziesiątce, wciąż bez zwycięstwa w lidze.

Polacy w Hiszpanii

PGA Tour przenosi się do królestwa Jacka Nicklausa, na Memorial Tournament presented by Workday, rozgrywany w Muirfield Village Golf Club. Memorial zadebiutował w Muirfield Village w 1976 roku i jest jednym z najdłużej rozgrywanych w tym samym miejscu turniejów ligi. Scottie Scheffler będzie bronił tytułu, a 18-krotny mistrz wielkoszlemowy Jack Nicklaus tradycyjnie będzie gospodarzem przedostatniego flagowego turnieju sezonu. Turniej transmitowany będzie wieczorami na platformie Max oraz powinien też pojawiać się w Eurosporcie 2. Ze względu na toczący się w tym samym czasie tenisowy Roland Garros, tej drugiej opcji nie da się zagwarantować, ani tym bardziej określić czasowo.

DP World Tour zagra od czwartku w Austrii, podczas Austrian Alpine Open presented by Salzburger-Land. W pierwszym po czterech latach turnieju tej ligi w Austrii nie zagra jednak gwiazda rzymskiego Ryder Cup – Austriak Sepp Straka, wybierający Memorial Tournament. Niedzielna transmisja z Gut Altentann Golf Club w Salzburgu na jednej z anten Polsatu Sport, najprawdopodobniej Premium 3, z komentarzem golfowej służby sprawozdawczej, Jacka i Andrzeja Personów.

W czwartek natomiast rozpocznie się kolejny turniej HotelPlanner Tour – Challenge de Cadiz. W Iberostar Real Golf Novo Sancti Petri wojować będzie aż trzech Polaków – zwyciężający w tej lidze w 2022 roku – Mateusz „Gradi" Gradecki, Michał „Bardżi" Bargenda i jego młodszy kolega, reprezentujący razem z nim drużynę wielokrotnych Klubowych Mistrzów Polski z Sobieni – Nikolas „Gigant" Tymiński.

Kasia Nieciak


Fot. Team Poland

„Gradi", „Bardżi" i „Gigant" zagrają w Hiszpanii.